



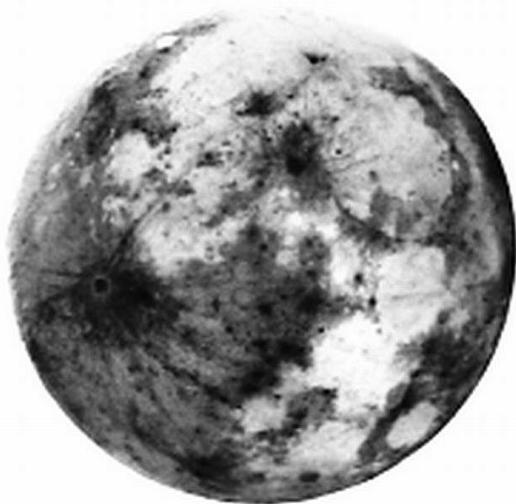
ERA WODNIKA

Aleksander Sowa

era

wodnika

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2010

Okladka: Małgorzata Orlik

Zdjęcie na okładce: Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –

eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-4153-5

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Koniec często przychodzi nieoczekiwanie. Dla bezdomnego otwierającego usta, by w pijackim amoku przywołać kompana, tak właśnie było. Ogień życia tylko migotał i nie było szans, że jasno zaplonie.

Zirytowany nieobecnością towarzysza postanowił go odnaleźć. Podniósł się z połamanej wersalki. Zamiast jednak kroku w przód opadł bezsilny na zdezelowany mebel. Tak zakończyła się ta ekspedycja. Chwilę potem jego ciało wygiął nagły spazm. Z gardła wydobył się jeszcze charkot niczym rezonans uwięzłych w krtani nieustannie latających pszczół. Potem głos z czeluści robaczywego ciała ucichł.

Tymczasem gdzieś dalej drugi człowiek w łachmanach, na pozór podobny ofierze konwulsji, wciąż nie wracał. Też spotkał go koniec. Według innego, bardziej przerażającego i makabrycznego scenariusza.

2.

Siedział w radiowozie w bezruchu. Był jednym z tych wielu mężczyzn, jakich co dzień spotykamy na ulicach. Był po prostu zwykłym szarym człowiekiem.

Tkwiał na przednim siedzeniu, beczynn timer patrzac przez szybę na plac Daszyńskiego. To doskonale miejsce, aby przyjść karmić gołębie albo wieczorem całować i pieścić się w ciemnościach jak gimnazjaliści – myślał w ciszy.

Plac nazywany był po wojnie placem Thälmanna. Albo – co zastanawiające, choć tylko dla obcych w mieście – placem Pedala. Ochrzczono go tak z powodu przesiadujących tam bezdomnych, pijaków i dziwek najpodlejszego sortu.

– Komisarzu Stompor, zgłoście się!

Trzask w radiotelefonie przerwał rozmyślenia Emila.

– Jestem!

– Za pięć minut będziemy. Jak to wygląda?

– To trzeba zobaczyć.

– Miejmy nadzieję, że warto było się zrywać z łóżka. Bez odbioru.

– Zrozumiałem! Bez odbioru.

Niemal równocześnie otworzył drzwi radiowozu. Wiedział, że zachował się jak pies. Pan wydał komendę „waruj” i wykonał ją bez namysłu. To było jego powołanie. Sens życia, przeznaczenie i fatum, czy tego chciał, czy nie. Los nie pozostawił wyboru. Czasem musiał aportować, by biegać bez łańcucha.

Był na tyle niepozorny z wyglądu, że mógłby z nożem w dłoni wejść do oddziału największego banku w centrum i zrabować okrągłą sumkę, a i tak nikt nie potrafiłby później podać jego rysopisu. On jednak, zamiast skutecznie i z finezją rabować banki, został gliną.

Dobrym gliną, nawet bardzo dobrym. I choć praca w pionie kryminalnym była jedną z najbardziej podłych i niewdzięcznych w fabryce, ją właśnie lubił najbardziej. Był bardzo skuteczny, a mimo to nie awan-

sował. Być może wpływ na to miało właśnie to, że nie rzucał się w oczy. Bardziej jednak prawdopodobne, że powodem był brak układów.

Niewielu Emila lubiło. Nie nawiązywał bliższych znajomości. Był odludkiem, typem samotnika, który nie miewa przyjaciół. Samotny, sfrustrowany i zgorzkniały, już nie najmłodszy czuł, że życie przeciekło mu między palcami.

Myśląc o tym, wyjął paczkę z dwudziestoma małymi wrogami. Przed zapaleniem camela powąchał go, przykładając równolegle do wąsa. Papieros miał piękny, dziewiczy zapach. Lubił go, bo był to zapach jedy-nych marzeń w gównianym, szarym życiu. Przywodził na myśl gorące i suche wnętrza knajp portowych, egzotycznie pachnących przygodą, orientalną urodą pięknych kobiet i nieprzebytymi przestrzeniami.

Zapalił i marzenia prysły niczym tytoniowy zapach z zapalonego cichego mordercy. Płomień zapalniczki oświecił na moment zmęczoną życiem twarz i Emil wydał się kilka lat starszy.

– Muszę rzucić, mam dość – mruknął niby do siebie, a niby do tych, co razem z nim dzielili podłą pogodę.

– Paskudny nałóg – odezwał się jeden z posterunkowych.

Emil jednak nie odpowiedział, nie spojrzał nawet. Zaciągnął się tylko i omiółł bystrym wzrokiem plac. Równy prostokąt, na sto kilkadziesiąt metrów długości i szerokość około pięćdziesięciu, z krótszej strony

oszepecony był postsocjalistycznym, siermiężnym miejskim szaletem. Nie spełniwszy swej pierwotnej funkcji, stał się meliną bezdomnych. Niby wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nic nie robił. Bo i po co? Aż do dziś. Wstępnie Emil wszystko zabezpieczył, a wejście do szaletu ogrodził taśmami. W nieprzemakalnym płaszczu czekał na szefa razem z drugim posterunkowym.

– Informacja udziela się tylko w razie konieczności – odburknął zagajony.

Tylko jeden z tych mężczyzn wiedział, co w trawie piszczy. Stał w milczeniu pouczony przez Emila bez ceregieli:

– Spróbuj coś komuś powiedzieć, to będziesz do usranej emerytury glancował krawężniki. Jasne?

– Jak słońce, panie komisarzu.

– Jak słońce – powtórzył i dodał: – Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Papieros dopalał się, kiedy względną ciszę przerwał dźwięk silnika czarnej lancierki z kogutem przyczepionym na magnes do dachu. Z wnętrza wysiadło dwóch cywili. Posterunkowi natychmiast się wyprostowali.

– Przykro mi, że mamy taką porę.

– Nie wkurwiał mnie bardziej! – Usłyszał. – I niech cię Pan ma w opiece, jeśli nie będzie to sprawa warta tej pory – odezwał się szef Emila, Boss.

Drugi z cywili, Lipski, był prokuratorem. Obaj, oprócz tego, że byli spowici pajęczyną powiązań służbowych, tworzyli rdzeń kliki towarzyskiej, znali się bowiem prywatnie.

- Mów. – Usłyszał od Bossa.
- Mamy dwa trupy.
- Uhm. – Lipski pokiwał głową z zainteresowaniem i udawaną troską w spojrzeniu. – Mów dalej.
- To bezdomni, zbierają się tu czasem. Niezbyt często, bo w sumie nie ma po co, skoro dworzec mają bliżej. Tam jest cieplej i zawsze mogą coś wyżebrać – wyliczał.
- Gównu mnie to obchodzi! Mów, co z nimi!
- Właśnie – Lipski zawtórował Bossowi jak echo.
- Więc bez sensu, żeby tutaj mieli ciągle przychodzić – Emil kontynuował niezrażony ich odzywkami.
- Jasne, jasne – mruknęli obaj, po czym Boss rzeczowo dał głos:
- Zapili się na śmierć?
- Rzeczywiście, pili... – mruknął Emil.
- Ja pierdołę! Ale gówno! Mówcie, bo nie wiem, o co chodzi! Po cholere wzywacie mnie w środku nocy – histeryzował prokurator – do jakichś zasrańców, co zachlewają się na śmierć!? Nie można tego, kurwa, było załatwić w jakiś bardziej cywilizowany sposób? Nie mogliście na przykład znaleźć ich o siódmej zamiast o trzeciej w nocy?!
- Jeśli Emil mógłby, powiedziałby, że nie robią na nim wrażenia przerywniki, których Eryk Lipski używa, oraz że ma bardzo, bardzo głęboko gdzieś jego krzyki. Był prokuratorem i jest jak dupa od srania, aby tu, w takiej chwili, przyjechać. Nabral powietrza w płuca i na głębokim wydechu wyluszczał, co wie:

– Po pierwsze, zauważyliśmy, że w ścianie jest wybite przejście do schronu.

– Do jakiego schronu? – Lipski niecierpliwil się znowu, po czym dodał zdziwiony do komendanta: – O czym on mówi?

– To nie wiesz?

– Nie wiesz, nie wiesz? – przedrzeźniał Bossa. – Co nie wiem, do chuja?! No nie wiem, nie wiem – wrzeszczał rozwścieczony. – Nic, kurwa, o żadnym głównianym schronie nie wiem! Jest czwarta nad ranem! Jak bym wiedział, pewnie bym się głupkowato nie pytał, nie?

Emil patrzył z politowaniem. Czuł obrzydzenie do tego dupka. Chwilę później odezwał się:

– Nawet nie wie pan, ile w tym jest racji.

– Co?

– Pod placem jest schron.

– Nigdy bym nie przypuszczał – Lipski szepnął zdziwiony.

– Bo młody jesteś jeszcze – wtrącił się komendant.

Emil dodałby jeszcze „i głupi”, gdyby mógł. Komendant tymczasem nie przerywał wywodu.

– I nie pamiętasz czasów zaraz po wojnie – zauważył rzeczowo.

– Jest ponemiecki – Emil ciągnął dalej. – Zbudowany, kiedy tu – skinieniem głowy wskazał plac – był faszystowski *Friedrichsplatz*.

– Przeciwlotniczy?

– I przeciwigazowy.

– Ech, ci faszyści tak samo dokładni jak teraz. Precyzyjni i na wszystko przygotowani – konkludował prokurator.

– Chuja dokładni! – komendant wtrącił się w pół zdania. – Mój mercedes się ciągle pierdoli – rzucił zniesmaczony.

Lipski, ignorując uwagę, zwrócił się do Emila:

– Dlaczego nie został zburzony po wojnie?

– Pewnie w PRL-u mieli nadzieję, że się przyda.

– Pierdolę taką nadzieję. Dobra, dawaj dalej – mruknął zachęcająco.

– W bunkrze jest trup.

– Trup? – Zrobił zdziwioną minę. – Miały być przecież dwa.

– Są dwa.

– Nie rozumiem. O co tu, do chuja, chodzi? To jeden czy dwa? Mówiłeś, że dwa. – Lipski wypomniał Bossakowskiemu. – On mówi, że jeden. To ile?

– Drugi jest w szalecie – Emil dorzucił, rzucając okiem na zdewastowany szalet.

Otworzył usta, jakby chcąc coś dodać, ale zrezygnował. Zamiast odpowiedzi zaprosił obu gestem ręki do samochodu.

– Wejdziemy i dokończę.

– Świetna myśl! – ochoczo zgodził się Lipski, zapewne mając nadzieję, że dzięki temu szybciej będzie mógł załatwić sprawę. Komendant tylko potakująco kiwnął głową.

Durnie – myślał Emil – ale niech im będzie. Otworzył drzwi niebieskiego volkswagena. Wewnątrz leżały latarki i przeciwdeszczowe płaszcze z napisami na plecach „Policja”. Podał każdemu po jednym, a potem dołożył po latarce.

– Więc idziemy.

– Co jeszcze wiesz? – Lipski nie dawał za wygraną, zachęcając Emila.

– W sumie niewiele – odparł. – Byłem tam raz. Wszedłem na parę metrów. Wierzcie, to nie jest przyjemne. Zresztą co można powiedzieć po takiej wizycie? Trzeba będzie całej ekipy, techników, fotografa, sekcji, badań laboratoryjnych. Od wodociągów musimy wziąć dokładne plany tej nory.

– Po co?

– Zaraz pan zobaczy.

Wszyscy trzej, kierując się w stronę ogrodzonego taśmami wejścia do schronu, zatopili się na chwilę w myślach.

– Wdepnęliśmy w niezłe gówno – Emil przerwał milczenie. – Jeden z młodych był tam ze mną. On to odkrył, więc proponuję, żeby poszedł z nami.

– Dawaj! – ucieszył się Lipski. – Opierdolę go, czemu znalazł ich w środku nocy.

Ludzie przechodzący przez plac spiesznym krokiem do pracy albo wracający z nocnej zmiany zwalniali z zaciekawieniem. Powoli z przepicia budził się kolejny jesienny poniedziałek, wciąż mając jeszcze na powiekach ciepły sen.

3.

Pokój na trzecim piętrze wypełniała hipnotyczna cisza. Kobieta spała najlepszym, porannym snem. Śniła. Nagle dzwonek leżącego obok łóżka ericssona bezlitośnie zabrzączał.

– No jasne, a któż by inny! – mruknęła zaspana, naciskając guziczek z zieloną słuchawką. – Gosia, słucham.

– To ja. Przepraszam, że cię budzę, ale też już od pół godziny nie śpię.

– Naprawdę musiałeś mnie obudzić?

– Musiałem.

– Niech cię diabli! Która w ogóle jest godzina? – Zadając pytanie, spojrzała na zegar.

Jednym z sekretów jej głosu nie była nieokreślona częstotliwość czy pełnia emocji, jakie uważny słuchacz wychwytywał. Wszystko łączyło się w jednolitą, nierozzerwalną całość. I dzięki temu dostała tę pracę. A kobiecie bez koneksji, bez doświadczenia w zawodzie, po czterdziestce trudno zaczynać nowe życie zawodowe. Jej się udało. Mimo wieku szybko wspinała się po szczeblach kariery. Poświęcała się pracy bez reszty. Niebagatelne znaczenie miał fakt, że jej rozgłośnia była w powijakach. Wszyscy w O'Key zaczynali. Kilka osób i obskurnych pokojików – oto całe ich radio. Mimo to było jej pasją. Odkąd pewnego dnia posta-

nowiła rozpocząć karierę od nowa, radio stało się sensem jej życia.

– Jest dziesięć po czwartej – odpowiedział. – Słuchaj, musisz gdzieś jechać.

– Mniemam, że to coś naprawdę ważnego. Lepiej dla ciebie, aby tak było. W przeciwnym razie zapiszesz się do kroniki policyjnej jako ofiara.

– Wierz mi, zaraz nie wypijesz nawet kawy do końca – rzekł naczelny.

Zaskoczył ją. Ale tylko trochę, bo choć wciąż była zła, zdawała sobie sprawę, że musiał mieć naprawdę ważny powód, by ją obudzić. Pracowali ze sobą na tyle długo, że dobrze się już znali.

– Co stało się tak wielkiego, że trzeba budzić zwykłą dziennikarkę przed czwartą w poniedziałek?

– Chodzi o psy. Jest aż kilka radiowozów.

– Gdzie?

– Na placu Pedala. Tam gdzie jest szalet.

– Dlaczego się tam zjechali?

– Czegoś szukają.

– Myślę, że nie. W odróżnieniu od ciebie mają na to lepsze pory. Coś się tam musiało wydarzyć.

– No właśnie nie wiem. Ty się dowiesz.

– Tylko tyle?

– Mało?

– Tak.

– Pewnie będzie więcej.

– W porządku. Niech ci będzie. Ale powiedz, czy to naprawdę jest aż takie ważne? Psy na placu Pedala w nocy? Nie można było poczekać z tym do ósmej?

– To będzie grubsza draka.

– Więc nie powiedziałeś mi wszystkiego. Skąd wiesz?

– Bo dzwoniła do mnie jakaś kobieta. Też mnie obudziła. Mówiła, że szła z nocnej zmiany i widziała trzy radiowozy. Szalet jest podobno ogrodzony taśmą.

– Taśmą?

– Tak – odparł.

To już coś – pomyślała. Policja stosuje taśmę, kiedy dzieje się coś poważnego: napad z bronią, wypadek śmiertelny, samobójstwo albo morderstwo.

– To nie wszystko.

– No?

– Podobno widziała tam też czarną lancję.

– Uhm – mruknęła z zadowoleniem.

A zatem jest prokurator. To potwierdza wersję z trupami. To już coś. Szybko przeanalizowała sytuację i podjęła decyzję.

– Może upiecze ci się tym razem. Jadę. Zobaczę.

– Grzeczna dziewczynka. Dzięki. Cześć!

– Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne są wyspane. Wolałabym się wyspać, niż być w niebie, wiesz?

W odpowiedzi usłyszała jednak tylko sygnał zakończonej rozmowy. Założyła błękitną, koronkową bieliznę, rajstopy i podreptała do kuchni. Wsypała ly-

żeczkę mocnej jak amfetamina kawy do ulubionego kubka. Myśli zaprzętała teraz obietnica materiału na poranny news. Chwilę potem przekręciła klucz w drzwiach.

Z samochodowych głośników popłynęły rytmy remiksu *4 O'Clock In The Morning*.

– Nomen omen – mruknęła i mocniej wcisnęła gaz.

Ten dzień miał wiele zmienić w życiu wielu ludzi. Także jej. Rozpoczynała się nowa era: Era Wodnika.

4.

Emil zrobił zdecydowany ruch dłonią, przywołując posterunkowego stojącego przed wejściem do szaletu.

– On nas poprowadzi – wskazał chłopaka w mundurze, po czym go przedstawił: – Maciej Wilk.

– W porządku. Lipski, witam! Ty to znalazłeś?

– Tak.

– Zatem, posterunkowy Wilk, macie u mnie przerażane.

Wszyscy się uśmiechnęli. Ostrożnie weszli do szaletu. Piłśniowe drzwi zwisały wyłamane. Pewnie wyważone kopniakiem – pomyślał Emil.

– Na pewno został odcisk buta – zauważył.

– Z pewnością – odrzekł Lipski, ukrywając zdziwienie. Sam nie wpadłby na to.

Zapalili latarki. Blask krzyżujących się światel obmacujących ściany oświetlił częściowo ciemne, zdewastowane wnętrza.

– Mów! – Lipski zachęcił posterunkowego.

– Zaczepił mnie żul na patrolu pod dworcem i powiedział, że w szalecie na placu Pedala leżą sztywni kumple i że ktoś ich załatwił.

– Załatwił?

– Tak powiedział. No to poszłem sprawdzić.

Lipski słuchał. Nawet nie bardzo poraził prokuratora błąd językowy młodego policjanta. Bardziej interesował się, o czym mówi, niż jak to robi.

– Rzeczywiście był tu ten z wersalki – wtrącił się Emil.

– Z jakiej wersalki?

– Tu jest wersalka. – Wskazał Lipskiemu latarką stary mebel.

– Aha.

Prokurator skupił się na słowach policjanta, nie dostrzegając otoczenia. Tymczasem martwy mężczyzna leżał na połamanym meblu. Wszyscy czterej skierowali światła latarek na zwłoki.

– To ten pierwszy – rzekł posterunkowy.

– A więc tutaj pili – Lipski zaczął oceniać sytuację.

Emil spojrzał na prokuratora. W jego głosie nie było nawet cienia podniecenia jak u posterunkowego. Lipski oglądał z pewnością więcej trupów, niż chłopak miał płatków śniadaniowych w miseczce.

– Trzeba zebrać odciski z butelek – zauważył komendant – a resztki wina, czy czegoś tam, dać do analizy w laboratorium.

– W środku jest jeszcze kilka – wtrącił posterunkowy.

– Tym bardziej. Dobra, mów, co dalej – komendant ponaglił młodego.

– Znalazłem tego tu – wskazał zwłoki – i...

– Wcześniej – przerwał zniecierpliwiony komendant – zanim go znalazłeś.

– Zgłosiłem to i weszłem do tej dziury.

– Sam?

– Tak.

– Źle zrobiłeś – stwierdził spokojnie. Lipski pokiwał głową z dezaprobatą.

– Chciałem od razu to sprawdzić. Drugi czekał na górze – posterunkowy przytomnie się bronił.

Emil nie komentował. Wiedział, że patrole są dwuosobowe. Znał mentalność krawężników, więc się nie zdziwił. „Co za kretyn” – Lipski określił młodego policjanta w myślach. Nie dość, że nie umie mówić po ludzku, to myśleć o swojej dupie także.

– Ten żul mówił – tymczasem chłopak dukał jak przy tablicy – że trup nie jest jeden i że to jego kumple. Zaciekawilem się.

– Zaciekawilem się – Emil powtórzył. – Co z tego?! Jak będziesz zgrywał bohatera, to zginiesz jako posterunkowy. Jak nie, to jako aspirant, a jak ci się poszczęści, może nawet jako komisarz albo inspektor – rzucił, łagodząc nieco nieprzyjemnie wrażenie.

– Bardzo śmieszne, komisarzu Stompor. Ale on ma rację – Boss rzekł do młodego. – Na cmentarzu w

Półwsi leży już nie jeden taki Sherlock Holmes jak ty. Zapamiętaj to.

– Spisałeś go? – mruknął Lipski.

– Kogo?

– Tego, co tu leży – ironizował. – No tego, co ci to zgłosił! A kogo?

– Aaa... Nie.

– To o czym ty myślałeś?

– Wie pan, panie prokuratorze – policjant natychmiast podjął obronę – to był Profesor.

Boss z Lipskim nie rozumieli.

– Jak się szlifuje krawężniki – ciągnął posterunkowy – to się zna tych żuli. Nie mają papierów, śmierdzą i nie ma sensu ich zatrzymywać. Tylko się zawszawić można. To Profesor powiedział o tym tutaj – wskazał trupa. – Nie spisałem go, bo i tak nie powiedziałby, jak się nazywa. Papierów nie ma i nie ma z czego spisać. Ale jak będzie trzeba, to go znajdę.

Komendant otworzył usta.

– Nie trzeba – Emil ubiegł przełożonego. – Sam to załatwię. Masz rację, posterunkowy, dobrze zrobiliś.

Znając tożsamość ważnego świadka, był częściowo zadowolony. Boss nie miał pojęcia o tym, co młody mówił. Zaczynał karierę jako milicjant. Ojciec był wysoko postawionym esbekiem. Nigdy nie był krawężnikiem.

Lipski tymczasem przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu.

– I co dalej? – zapytał po chwili.

– No nic. Przyszłem i znalazłem trupa. Potem dałem znać naszym. Dalej to już pan inspektor się tym zajął...

– Niewiele więc nam to dało – mruknął komendant.

– No – przytaknął Lipski.

– To się jeszcze okaże – Emil zaoponował, wciąż lustrując otoczenie.

Wnętrze skrywało wykafelkowane ściany pokryte brudem. Pomieszczenie zbudowano w kształcie prostokąta. Przy jednym z boków zawieszane były zdewastowane i rozbite umywalki.

– Myślałem, że będzie tu mokro – zauważył ze zdziwieniem Lipski.

Nikt nic nie odpowiedział.

– Woda jest zakręcona od dziewięćdziesiątego pierwszego – Emil mruknął po chwili, nie przerywając oględzin.

– Skąd wiesz?

– Nie tylko pana obudziłem, panie prokuratorze.

– No tak. Mnie to pasuje, że nie leje się na łeb, a tylko kapie czasem za kołnierz.

Uśmiechnęli się, po czym przesunęli w głąb drugiego pomieszczenia, oddzielającego – jak domyślał się Emil – część męską od damskiej.

– Ja myślałem, że będzie śmierdziało.

– Przecież różami nie pachnie – Emil skomentował domysły szefa.

W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach podziemi, z wyraźnie wyczuwalną nutą stęchlizny. Nie

był to odór czy smród nie do wytrzymania, ale do przyjemnych zapachów nie należał.

– Szalet zbudowano – wyjaśniał Emil, posuwając się w głąb – w miejscu, gdzie znajdowały się generatory prądotwórcze. Było tu także główne wejście i filtry. Po wojnie skorzystano z bunkra przy budowie szaletu ze ściekiem wpuszczonym do środka. Na dnie jest klepisko.

– Chcesz powiedzieć, że tam właśnie idziemy? – zaniepokoił się komendant.

– Przecież mówiłem, że wdepnęliśmy w gówno. Z planów wynika, że schron ma dwa poziomy. Był bardzo dobrze wentylowany, miał nawet filtry chemiczne. Gdy go zbudowano, był nowoczesny.

To bardzo zdziwiło Lipskiego.

– Kiedy to było? – natychmiast wtrącił pytanie.

– Za Adolfa. Filtry i wentylacja zostały zamaskowane pomnikiem na górze, zielenią i ozdobnym murem wokół placu – Emil wyjaśniał cierpliwie. – Miał dostęp do wody i szczątkową kanalizację na dolnym poziomie, nowe uszczelki w drzwiach, sprawne silniki w filtrach, czyste ubikacje, zapasy wody i oznaczoną drogę ewakuacyjną. Nic, tylko się wprowadzać i mieszkać.

– Rzeczywiście, masz rację – odparł z niesmakiem prokurator. – Jak w Ritzu. No dobra, ale co w tym dziwnego, że żule weszli do starego bunkra czy tam schronu, a potem schlali się na śmierć? Przecież to

zwykli bezdomni, społeczne wyrzutki. À propos, gdzie jest ten drugi?

Sam jesteś wyrzutkiem – pomyślał Emil. Wiedział, że dla tego skurwiela liczyła się kasa i przez jej pryzmat oceniał człowieka. Masz kasę, jesteś człowiekiem; nie masz, nie zasługujesz na człowieczeństwo, oto twój kodeks moralny – myślał o Lipskim.

– Tam – posterunkowy wskazał przejście wyłamane w ścianie.

– Aby wykuć ten otwór, należało użyć narzędzi. Na pewno oskarda, kilofa, młota albo łomu – Lipski starał się dociec prawdy.

– Nie znam się na budowlance – Emil mruczał tymczasem – ale to nie musiało być trudne. Zaprawa rozsypuje się w palcach – rzekł, rozcierając grudki tynku w dłoni.

Ruszyli dalej. Przeszli przez wylom, gęsiego.

– Z tego, co widziałem – kontynuował wypowiedź, mając w kieszeni kurtki ukryty magnetofon, co uszło uwadze pozostałych – obok wersalki bezdomni palili znicze, zapewne ukradzione z cmentarza. Przy pierwszym ciebie były też butelki i ślady obecności drugiego albo pozostałych członków libacji. Czapka, rękawiczka i dwie puszki piwa.

– Musieli wykuć przejście w miejscu, gdzie było kiedyś zamurowane – wtrącił posterunkowy.

– Chyba tak, ale to raczej nie oni.

– Czemu tak myślisz? – zdziwił się Lipski.

– A niby po co mieliby to robić?

– Cholera ich wie! – bronił się prokurator. – Skąd możesz wiedzieć, co im po pijaku przyszło do łbów?

– Chwila – Emil przystopował prokuratora. – Zaraz zobaczymy.

Weszli do korytarza o niskim stropie. Nie było to miejsce, w którym bywa się codziennie. Raczej takie, do którego można by trafić, gdyby przenieść się w czasie o pół wieku wstecz. Z półkolistego sufitu zwisały resztki instalacji oświetleniowej.

– Emil – zaniepokoił się prokurator – dzwoniłeś też może do elektrowni?

– Nie ma prądu. Bunkier miał własny generator. Szalet zasilany był z zewnętrznej linii, którą odcięto.

– Uff.

Przejście obniżyło się do półpiętra i schodów prowadzących jeszcze niżej. Potem do korytarza ciągnącego się aż po granice rozświetlanego latarką mroku. Do ich płuc docierało wilgotne i chłodne powietrze. Było przesiąknięte zapachem zgnilizny, zatęchłych liści i przejmującego chłodu. Tylko skąd zapach liści kilka metrów pod gruntem? – zastanawiał się Emil.

– Jest tam – przerwał milczenie posterunkowy.

Dziesięć metrów od nich leżały zwłoki. Właściwie tylko szkielet białych kości – pozostałości po człowieku okryte podziurawionymi lachmanami w nienaturalnie wykręconej pozie obok rozbitej butelki.

– Teraz uważajcie i módlcie się, żeby nas nie wychuły – szepnął posterunkowy.

– O co chodzi? – zapytał Lipski.

Boss zresztą pomyślał to samo, ale milczał przestraszony. Emil wiedział, ale zamiast odpowiedzieć, szepnął:

– Widzicie? Skrzynka, chyba drewniana.

– Uhm – przytaknął posterunkowy. – Ale nie wiem dokładnie. Stąd zawróciłem.

Podeszli do niej. Wewnątrz stały butelki 0,7 l.

– Wino – otworzywszy usta, ze zdziwienia skomentował widok posterunkowy.

– Nie wierzę! – Lipskiemu ten widok nie mieścił się w głowie.

– A jednak. – Posterunkowy kiwał potakująco głową.

Tymczasem Emil odwrócił się i skierował światło na szkielet. Obok ręki leżała butelka, wciąż cała.

– Ten sam jabol, co przy wersalce.

– No dobra – Bossakowski wreszcie się odezwał. – Ale sztywniak wygląda, jakby leżał tu już dobre parę lat.

Emil, zamiast odpowiedzieć, znów zaczął dedukować:

– Ktoś wybił przejście...

Nagle jego głos się załamał. Dostrzegł opasłe szczurze cielska. W mgnieniu oka odgadł tajemnicę szkieletu.

– Jasny chuj – jęknął. – Wiejemy!

I rzucił się w kierunku wyjścia, gdzie byli już pozostali. Po kilkunastu sekundach wybiegli zdyszani na powierzchnię. Lipski powstrzymywał odruch wy-

miotny. Emil i Boss oddychali ciężko jak po biegu na 110 metrów przez płotki. Kiedy się wreszcie uspokoili, Lipski zaczął:

– Nic tak nie ożywia dnia jak dobry trup.

Zarechotali śmiechem. Rozluźnieni odetchnęli po chwilach pełnych napięcia.

– Wywalili kawałek ściany w opuszczonym szalecie, aby dostać się do wnętrza, w którym jeden się zachłanił na śmierć – podsumował oględziny komendant. – Drugiego zżarły szczury, kiedy siedł po ukryte tam wina.

– Na to wygląda – odparł posterunkowy.

– No to otwieramy sprawę, panie Stompor – komendant zwrócił się żartobliwie do Emila. – Ale chcę, żebyś wiedział, że nie podoba mi się to miejsce. Jest niebezpieczne. Należy zamknąć tę sprawę jak najszybciej i nie kręcić się tutaj.

– Tak – dodał Lipski.

– A co jeśli będą jeszcze inni? – zawahał się posterunkowy.

– Zobaczymy – mruknął prokurator. – Prokuratura otwiera dochodzenie, a policja rozpoczyna czynności operacyjne, aby wyjaśnić wszelkie okoliczności. Prawda, panie komendancie?

Bossakowski nic nie odpowiedział, ciągle dysząc. Pokiwał głową. Wiedział, że Lipski ma rację.

– No... – nieśmiało zaczął posterunkowy. – No... ja i panowie dotarliśmy tylko do miejsca, gdzie leży ten

drugi sztywniak i ta skrzynka. Dalej żaden z nas nie doszedł.

– Posterunkowy ma rację – odezwał się dotąd milczący Emil. – Nie wiemy, co znajduje się dalej. Bunkier jest za duży i zbyt niebezpieczny, by go spenetrować ot tak, standardowo.

Słowa Emila oznaczały sprowadzenie specjalnej ekipy, papierki i mnóstwo roboty. Najbardziej nie pasowało to wszystko komendantowi. Miał swoje powody. Skomentował fakty jednym zdaniem:

– I tak trzeba zacząć dochodzenie.

– A schron zbadać – dorzucił Lipski.

Zamilkli, zastanawiając się nad tym, co zobaczyli. Każdy z nich widział niejedno ludzkie nieszczęście. Mimo to widok drugiego ciała, szkieletu właściwie, zrobił na nich niemałe wrażenie. Młody wciąż był bledy.

Po chwili prokurator znów się odezwał:

– Widziałem niejedno. Niejednego trupa oglądałem. Ale czegoś takiego jeszcze nie. I wiecie co? – ciągnął Lipski. – Zastanawiam się, jak można być tak głupim, żeby skrzynkę wina, na dodatek pewnie jeszcze skądś podpierdoloną, schować do bunkra pełnego szczurów.

– A jeśli ktoś chciał ich zabić? – odezwał się Emil, wypuszczając dym z ust.

5.

Dwa dni później przed Wojewódzkim Centrum Medycznym w Opolu Emil w swoim polonezie czekał na prokuratora. Dupek się spóźniał, więc zdążył wypalić już dwa camele.

Rozejrzał się. Nie widząc niczego niepokojącego wzdłuż całej Alei Witosza, sięgnął do schowka i wyjął ćwierćlitrową piersiówkę z wódką. Pociągnął trzy spore łyki. Alkohol przyjemnie rozpływał się w żołądku. Wiadomości w radio rozpoczynał news dnia.

– Przedwczoraj coś dziwnego działo się w sercu Opoli. – Usłyszał Emil. Podkreślił głośność. – Jak udało nam się dowiedzieć, po nocnej akcji funkcjonariuszy policji z Opoli do bunkra na placu Daszyńskiego weszli żołnierze z Tarnowskich Gór. Zapytaliśmy rzecznika prasowego komendy po co.

Dziennikarka przedstawiła policjanta i Emil po chwili usłyszał:

– Czy to prawda, że żołnierze odszczurzali bunkier?

– To prawda.

– Czyżby opolska policja ściagała szczury zamiast przestępców?

– Oczywiście nadal ścigamy przestępców – rzecznik odpowiedział przytomnie. – Deratyzacja była niezbędna do prowadzenia czynności operacyjnych.

– Jakich czynności?

– Koniecznych przy dochodzeniu, które prowadzimy.

– Rozumiem – nie dawała za wygraną. – Ale radio O’Key dowiedziało się, że znaleziono tam zwłoki. Czy potwierdza pan tę informację?

– Tak.

– Czyli w bunkrze znaleziono ciała.

– Tak.

– Ile?

– Dwa.

– Jak doszło do tego odkrycia?

– Otrzymaliśmy informację od anonimowego informatora.

– Rozumiem. Kim byli zmarli?

– Staramy się to ustalić.

– W jakich okolicznościach doszło do śmierci? Czy zostali zamordowani? Takie są przypuszczenia, prawda?

– Pani redaktor, nie wiem, jakie są przypuszczenia. Policja działa na podstawie faktów, nie przypuszczeń. Prowadzimy śledztwo, aby odkryć przyczynę śmierci tych ludzi.

– Po co sprowadzać wojsko z Tarnowskich Gór do bunkra w Opolu?

– Grupa Ratownictwa Chemicznego jest jednostką, z którą często współpracują różne komendy.

– Nadal nie wiemy, dlaczego żołnierze wchodzili do bunkra. Powie pan dlaczego?

– Mogę powiedzieć, że w bunkrze funkcjonariusze chcieli przeprowadzić czynności dochodzeniowo-śledcze. Obecność szczurów to utrudniała. Stwarzała też

dodatkowe niebezpieczeństwo, zatem żołnierze zajęli się kłopotliwymi gryzoniami, aby umożliwić pracę policjantom.

– Oczywiście, rozumiem. Czy przeprowadzono te czynności?

– Nie, jeszcze trwają.

– Jaki jest ich charakter?

– Analizujemy ślady, badamy poszlaki.

– Mówi się, że ktoś dokonał tam brutalnego morderstwa. Czy może pan to potwierdzić?

– Nie mogę. Ale nie mogę również tego wykluczyć. To jedna z ewentualności, jaką dopuszczamy. Zapewniam, że pracujemy nad rozwikłaniem tej zagadki.

– Dziękuję za rozmowę.

– Ja również.

– Drodzy radiosłuchacze, państwa gościem był nadkomisarz Maciej Milewski. Rozmowę prowadziła Małgorzata Krawiec. Radio O'Key.

W tej samej chwili Emil dostrzegł zbliżającą się lancię. Wylączył radio. Wyszedł z samochodu.

– Cześć! – Lipski przywitał się prawie po przyjacielsku, podając dłoń policjantowi.

– Witam, panie prokuratorze.

– Co tak oficjalnie?

– Spóźnił się pan.

– A tak. Przepraszam. Korki. No to co, idziemy?

– Idziemy.

Ruszyli w kierunku nieciekawego budynku przy szpitalnego Zakładu Medycyny Sądowej. Po wejściu

Lipski przywitał się z patologiem. Emil także. Policjant podszedł do zwłok. Przyglądał się im uważnie.

– Wiadomo coś w jego sprawie? – patolog zagaił prokuratora, przygotowując się do pracy.

– Według mnie to strata czasu, ale wiadomo, prawo – zachnął się Lipski. – Sprawa prosta jak drut: menele, tanie wina, podziemia i trupy.

– A tak, słyszałem. No to zobaczymy.

– Według mnie nie ma co oglądać. Poza tym mam ciekawsze i – prokurator podkreślił z naciskiem – ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż oglądać trupa jakiegoś zapijaczanego menela.

Emil tymczasem nadal oglądał zwłoki. Mężczyzna mógł mieć około 50, 60 lat – myślał. Siwa broda przywodziła na myśl Robinsona Crusoe z filmu, na który wybrał się kiedyś z córką.

Trup miał nienaturalne powyginane dłonie, niczym u człowieka z chorobą psychiczną. Były blade i zniszczone. Na palcach miał ślady pobierania odcisków – wykonano już daktyloskopię. To dobrze – pomyślał z satysfakcją. Zatem jego polecenia były wypełnianie. Może będą mogli odkryć tożsamość, jeśli był notowany.

Mężczyzna leżał na plecach z rękoma ułożonymi na stole wzdłuż nienaturalnie wygiętego ciała. Było to spowodowane najprawdopodobniej ułożeniem na wersalce po śmierci i zesztynieniu zwłok – pomyślał. Choć z drugiej strony natychmiast rzuciło się Emilowi w oczy, że ciało było wciąż sztywne.

– Dobra! Do roboty – rzekł patolog i włączył magnetofon. – Badanie na zlecenie Prokuratury Okręgowej w Opolu, którego celem jest ustalenie przyczyny śmierci denata. Mężczyzny o nieustalonej tożsamości w wieku lat... – zaczął.

Patolog nagrywał początkowy fragment i pobierał wymazy z jam ciała. Emil zerknął w papiery Lipskiego. Kiedy zabierano zwłoki z bunkra, miały temperaturę 25°C. To musiało oznaczać, że znaleźli go dość szybko po śmierci.

– ...rasy białej. Typ budowy ciała ektomorficzny – opisywał zwłoki – wzrost 168 centymetrów, masa 66 kilogramów...

Następnie rozciął ubranie i sfotografował zwłoki. Wykonał dwa cięcia skalpelem od lewego i prawego ucha, równoległe do obojczyków. Niemal biała skóra rozdzielała się z łatwością, odsłaniając czerwień mięśni. W powietrzu rozniósł się charakterystyczny trupi fetor. Policjant poczuł słodki smak w ustach.

Biorąc pod uwagę temperaturę w bunkrze – Emil dedukował – w granicach 12–14°C i średnią utratę ciepłoty ciała po śmierci rzędu 2°C na godzinę, musiał zejść wieczorem, do 10 godzin przed znalezieniem.

– Minęła już ponad doba od śmierci – lekarz rzucił, niemal czytając w myślach Emila. – Wskazuje na to stężenie pośmiertne. Nadal jest widoczne, choć z pierwszymi oznakami ustępowania.

Zajęty uzupełnianiem papierów Lipski nie reagował. Nie był zainteresowany sekcją. Natomiast Emil bardzo

się zaniepokoił. Według niego zgon musiał nastąpić co najmniej 48 godzin wcześniej, tymczasem lekarz stwierdzał co innego. Zastanawiające – myślał. Ta rozbieżność i dziwne wygięcie ciała nie pasowały Emilowi, ale postanowił na razie nie przeszkadzać.

– Brak *livores mortis* – stwierdził lekarz.

Fakt – pomyślał – nie było plam opadowych. Dla Emila ich brak był wskazówką, że sztywniak nie zatrul się czadem, cyjankiem czy azotanami. Nie było też sińców, obtarć, krwiaków ani ran. Żadnych urazów na czaszce. Zatem nie został pobity. Nikt siłą do bunkra żulika nie doprowadził. Jego śmierć nie ma związku z zabawami rozpuszczonych małych dzieci czy porachunków między menelami – pomyślał.

Lekarz wykonał kolejne cięcie. Od mostka, gdzie – niby naszyjnik – spotkały się pierwsze dwie rany, ciało w kierunku krocza nieszczęśnika. Szybкими ruchami, jak gdyby kozikiem, patolog pogłębiał rany w bruździe pomiędzy rozciętą skórą. Ciało z zapamiętaniem, odkrajał fachowo i szybko pierwszy, trójkątny fragment skóry, zrywając go stopniowo w kierunku brody. Skórował zwłoki jak rzeźnik wieprzka. Wreszcie dotarł do krtani i spojrzawszy na Emila, rzekł:

– *Os hyoideum* nieuszkodzona.

Ten potwierdził ruchem głowy, że widzi. U wisielców kość gnykowa zawsze jest połamana. Świadczyło to, że denat nie był duszony. Nic zresztą na to wcześniej nie wskazywało.

Lekarz kolejnymi cięciami oddzielał skórę brzucha od mięśni aż do kości łonowej. Obszedł stół, a z jamy brzusznej, przy wtórce niebywałego fetoru kału, niestrawionego jedzenia i alkoholu, wylały się wnętrzności.

– O, bardzo przepraszam – rzekł. – Przypadkiem przeciąłem żołądek – usprawiedliwiał się.

Policjant wiedział, że nie był to przypadek. Doskonale zdawał sobie sprawę, że aby rozkładać zwłoki, trzeba być trochę walniętym człowiekiem. Widok białej od smrodu twarzy zawsze rozbawiał takiego czubka.

Smród był nie do zniesienia. Dzięki niemu Emil nie miał wątpliwości, że menel pił, i to sporo. Oczywiście wiedział o tym wcześniej, teraz miał na to dowód. Tylko one się liczyły.

Lekarz odciął dwa płaty skóry, odsłaniając brzuch i żebra. Z dolnej części brzucha wylały się jelita wypełnione treścią pokarmową i kałem. Przykryły nieco rozcięty żołądek. Emil zerknął na wątrobę. Płyn zielonkawo-czerwonego koloru zalał ją niemal całą, czyniąc prawie niewidoczną.

Patolog wyszukał woreczek żółciowy. Wyciął go i odłożył. Kilkoma wprawnymi ruchami odciął żebra z mostkiem przy użyciu nożyc podobnych do sekatora. Pomagając sobie skalpelem, oddzielił całkowicie ten fragment ciała. Kończąc, odłożył na bok, niczym skorupę żółwia. Emil miał teraz przed oczyma trzewia

tego człowieka jak na dłoni. Przyglądał się z zainteresowaniem, gdy lekarz wycinał serce.

– Zapach, kolor i wygląd wnętrzości – mówił – wskazuje na zatrucie alkoholowe.

– Jest pan pewien? – z głębi sali doszedł go głos prokuratora.

– Tak. Jak i tego, że facet nie żyje. Jeszcze tylko chciałbym zobaczyć wnętrze żołądka, z ciekawości. Chcę wiedzieć, co jadł. Dla pewności otworzę też czaszkę.

– Nie trzeba. Wierzymy panu – Lipski zaprotestował od razu.

Ciekawe, jakim prawem wypowiadasz się w moim imieniu – Emil pomyślał z niechęcią.

Patolog odłożył skalpel. Przeciął jelita w dwóch znanych tylko sobie miejscach i wyszarpał obiema rękami, niczym kilka pęt kielbas w sklepie, przekładając do emaliowanej miednicy. Wskazał palcem na wątrobę. Była jasna, zbyt jasna jak na ten organ.

– *Cirrhosis hepatis*.

– Marskość? – zapytał Lipski.

– Tak, plus zatrucie – rzekł, dodając po chwili. – I to ono zdecydowało.

Szerokim cięciem otworzył żołądek. Z jasnoszarego worka rozlał się żółtawy, śmierdzący alkoholem płyn.

– Z taką wątrobą i tak nie pociągnąłby długo – skomentował, pobierając próbkę. – O, widzę, że nasz trupek lubił tanie wino.

Żart lekarza wydał się Emilowi nie na miejscu.

– Skąd pan wie? – natychmiast zapytał.

– Proszę spojrzeć – rzekł do Emila, wskazując żołądek. – Właściwie sam plyn.

– Uhm – potwierdził, ale nic mu to nie dawało. Nie znalazł się na zawartości żołądków truposzy.

– Wody nigdy tyle nie ma – wyjaśnił. – Piwsko śmierdzi inaczej. Tutaj widzę, że to wino. Na pewno nie francuskie, czuć zresztą – dodał z nieco diabolicznym uśmiechem.

– No to co? Po sprawie tak? – wtrącił się prokurator.

Spojrzelili w jego kierunku. Był wyraźnie zadowolony.

– Właściwie tak. Jeszcze tylko poczekamy na laborkę – patolog pokiwał głową.

– Na co? – Lipski zapytał zdziwiony.

Lekarz zerknął na prokuratora, wskazując skalpelem próbkę.

– Na to.

– Myśli pan, że to konieczne?

– Zanim podpiszę, wolalbym wiedzieć, że przy okazji nie chlał płynu hamulcowego.

– Eeee, i tak to nie ma znaczenia – prokurator machnął ręką. – Gość jest anonimowy, bez rodziny, bez nikogo. Nie ma sensu.

Zdziwiony patolog spojrzał na Emila. Ten zaś nie dał po sobie poznać niczego i tylko wzruszył ramionami. Wolalby, aby próbka była zbadana, lecz bardziej zainteresował się czymś innym.

– Powiedział pan – zwrócił się do zaskoczonego lekarza – że denat zmarł dobie temu?

– Niekoniecznie, mógł leżeć dłużej, jeśli było na przykład chłodno.

– A czemu go tak wygięło? To normalne?

– Faktycznie dziwne. – Lekarz przyznał z zakłopotaniem, drapiąc się za uchem. – Z drugiej strony to typowy objaw przy epilepsji.

– Znaczą się przy padaczce?

– Tak. Jak ktoś chleje na umór i nic nie je, czasem występuje coś takiego jak pijacka padaczka. Wtedy właśnie tak wygina ciało.

– Aha.

Emilowi wszystko ułożyło się w głowie. Uspokoił się. Tymczasem w rozmowę wtrącił się prokurator.

– No i co, panie komisarzu? – rzekł z zadowoleniem. – Od początku wiedziałem, że nie trzeba było mnie rano budzić. Proszę jeszcze zbadać tę próbkę, jeśli pan woli – zwrócił się do lekarza – i zamykamy.

– Coś będzie trzeba powiedzieć dziennikarzom – Emil zmienił temat.

– Poradzę sobie. No to co? Będę się zbierał, spieszę się – rzekł, stukając palcem w srebrny zegarek. – Zszyjcie go. Wpadnę tu z papierami przed siedemnastą.

– Ale jutro.

– Dobra, niech będzie! – zgodził się na lekarską odpowiedź. – Na razie. Dzięki.

Inspektor Jan Bossakowski został psem w PRL-u. Dziś, jako komendant KWP, nie pamiętał albo pamiętać nie chciał o tym, że miał w życiu pewien ważny epizod. Debiutował w ZOMO. Większość o tym zapomniała, dlatego że zapomnieć było na czasie. Ot, taka moda na politycznego alzheimera. Choroba niemłoda i nieuleczalna. Zapadają na nią gnoje na całym świecie: komuniści, naziści, ubecy, najzwyklejsi zbrodniarze i lizusi jak on.

Boss był w fabryce dłużej niż Emil. Miał wielu kumpli z tamtych czasów. Z czasem znikali ze sceny, ale pozostawiali za sobą synów czy zięciów. Między innymi takich jak prokurator Lipski, syn starego Lipy, ubeka, dziś senator RP. Dzięki takim jak on lustracja była tylko picem na wodę. Kolesie zadbali o to, aby ich teczki były czyste.

Emil nie pasował. Jego ojciec był akowcem. Po powstaniu trafił do obozu koło Opola. Z czapką pozbawioną orzelka w koronie trafiła tam także sanitariuszka z powstania. Ojciec Emila czołgał się z nią po gruzach Starego Miasta. Przeszli tą samą rurą do Śródmieścia. Doczekali kapitulacji i wyszli z miasta tą samą kolumną. W jednym pociągu przewieziono ich do obozu, ale poznali się dopiero w Lamsdorf.

Powstaniec i sanitariuszka zza kolczastego drutu, patrząc na niebieskie niebo i zielony las, zakochali się w sobie. Halinkę wywieźli zaraz potem. Po przejściu

ruskich ojca Emila nadal więziono, tyle że teraz wspólnie z Niemcami z Opolszczyzny, z żołnierzami Andersa, z jeńcami września spod Bzury, do wiosny 1947 roku.

Wkrótce potem, po przesłuchaniach i krótkich aresztach, zamieszkał w Opolu. Kiedy ubecja rozbijała ostatnie akowskie oddziały w 1950 roku, trafił z niedożywienia, rozpacz i samotności do szpitala.

– Mam 24 lata – powiedział, kiedy się spotkali – ocalałem.

Była tam pielęgniarka. Kiedy więc wyzdrowiał, dwie dusze spod znaku bialo-czerwonej opaski i orzelka w koronie zostały ze sobą. Przegrani w nowej, powojennej rzeczywistości starali się żyć godnie i uczciwie. Wiele lat po powstaniu przyszedł na świat Emil, jako drugi syn. W następnym roku pojawił się młodszy brat Emila i żyli w pięcioosobowej rodzinie. Aż do dnia, kiedy matkę zabił rak macicy. Emil miał wtedy dziewięć lat.

– Gówno prawda! – powiedział potem pewnego popołudnia na lekcji historii i dostał linijką w dłoń, aby natychmiast zapomniał o prawdzie.

Ale Emil pamiętał. Nigdy milicjantem nie został i zomowskiego pochodzenia komendanta nie zapomniał. Dziś, przed emeryturą, mógł splunąć na wszystko. Szczególnie kiedy się upił, jak dziś, a głos swojego szefa w radiu miał gdzieś.

Skrócił zarost do jednego milimetra. To niewiele pomogło. Widział zmęczonego życiem, starzejącego się mężczyznę. Zamiast śniadania wypił gorzką kawę. Połknął dwie tabletki od bólu głowy.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Dziewczyna na stróżówce przywitała Emila.

– Mam okres.

– Boli cię brzuch?

– Serce mnie boli, malutka. Przeziębilem się, nic mi nie jest, dzięki za troskę.

– No to idź do Bossa. Pytał o ciebie.

Wczoraj wypalił za dużo. Tytoń wybitnie potęgował syndrom dnia wczorajszego. Dziś nie zapalił ani jednego. Wszystkie mu śmierdziały.

– Co ci jest? – Usłyszał w drzwiach.

– Przeziębilem się.

– Źle wyglądasz.

Komendant siedział za biurkiem w mundurze jak car. Słońce przyjemnie oświetlało gabinet. Zapowiadał się jeden z pierwszych tej jesieni pięknych dni. Emila słońce drażniło. Reagował bólem na światło.

– Martwię się o ciebie – szef zagaił znad gazety.

Akurat – pomyślał.

– Chciał mnie pan widzieć?

– Tak. Wiesz, że zamykamy tę sprawę?

– Wiem, słyszałem – odburknął niechętnie.

– To dobrze – komendant odparł, odkładając gazetę. Po chwili mruknął: – Co jest? O co ci chodzi?

Emilowi nie podobało się, że tak szybko podjęli decyzję. Nie był pewien, czy to takie oczywiste, jak wczoraj słyszał w radiu. Pośpiech jest dobry przy łapaniu pcheł, ale nie przy takich sprawach – myślał.

– Czy to nie za szybko?

– Szybko? – obruszył się komendant. – A nad czym się tu zastanawiać? Pili na umór, to się przekręcili. Mie-li chociaż dzień dziecka na koniec.

Niezły żart. Zobaczymy, jak sam skończysz, stary ubeku – pomyślał.

– Poza tym nie chcę, by ktokolwiek kręcił się obok tego bunkra – komendant mówił dalej. – Dla mnie, prezydenta z radą parafialną, ten bunkier to wrzód na dupie.

– Mogliśmy poczekać na toksykologię.

Emil delikatnie podjął próby przeciągnięcia końca choćby o jeden dzień. Czuł, że coś jest nie tak, jak być powinno.

– Już jest. Była wczoraj, dlatego dałem ten wywiad.

– I co?

– Nic. Tak jak myśleliśmy z Lipskim. Wino i tyle. Tu – wskazał ruchem głowy – leżą dokumenty.

Emil spojrzał na wyniki.

– Zapoznaj się i włącz do akt.

Analiza wskazywała, że zawartość żołądka stanowił niestrawiony alkohol średnioprocentowy. Jak mówił

patolog – wino. Jednak uderzyło Emila, że we krwi było tylko 4,5 promila alkoholu.

– Zatem sprawa zakończona – zakomenderował Boss. – Możesz się brać za papiery. Lipski zamknął postępowanie.

– Skoro pan tak mówi.

– I co? Wcale nie trzeba było nas wtedy budzić!

– To samo mówił Lipski w prosektorium.

– I miał rację. Miał rację – powtórzył. – Następnym razem lepiej się zastanów.

Mam to gdzieś, stary durniu – pomyślał Emil. Po czym poprosił:

– Mam jeszcze coś.

– Coś ci nie gra? – Boss podniósł brwi znad okularów.

– Chcę jeszcze coś sprawdzić. Pogadam z tym patologiem i z Profesorem. Nie gadaliśmy z nim.

– Jakim Profesorem, do ciężkiej cholery? – zaczerwienił się stary.

– Z menelem, który ich znalazł.

– A, tak – komendant przypomniał sobie. – Tego, o którym młody mówił. Dobra. Rób, jak chcesz. Ale sprawa jest zamknięta. Dzisiaj jest środa. Chcę, żeby do soboty papiery były gotowe. – Stuknął długopisem w blat. – Będą leżały tu, u mnie na biurku. Jasne?

– Jasne.

– Mamy ważniejsze sprawy niż pijackowie. To śmiecie. Nawet jeśli ich ktoś ubił, nie ma to znaczenia. Im mniej ich będzie, tym lepiej.

8.

Wyszedł z gabinetu Bossakowskiego. Jego myśli zaprzętał alkohol u denata. Postanowił, że pojedzie do patologa i zapyta go o to. Potem odszuka Profesora, ale zanim to zrobi, musi wypytać młodego od bunkra.

– Gdzie posterunkowy Wilk? – Emil pyta dyżurnego.

– Jest w gimnazjum numer pięć.

– Dobra. Przekaż mu, że zaraz tam będę. Chcę z nim pogadać.

– Tak jest, panie komisarzu.

Po kolejnych reformach edukacji połączono szkołę podstawową z gimnazjum w jeden zespół, tworząc niezły cyrk. Byli wzywani tu co najmniej raz w tygodniu. Emila nie zdziwiła obecność ludzi z fabryki w szkole. Dręczyła go pewna myśl. Raport patologa stwierdzał, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia alkoholem. Ale we krwi było tylko 4,5 promila. Owszem, to typowa dawka śmiertelna. Znane są jednak przypadki, że po 4,5 promilach chłopaki z drogówki wyciągali delikwenta zza kółka. Pięć promili to norma, przy której wielu nie tylko nie schodziła. Rekord należy do faceta, który miał 13,5 promila. Niestety nie przeżył. Dowodzi to, że menelki, pijąc codziennie, powinni mieć więcej niż 4,5 promila, aby się przekreślić. Dojeżdżając do szkoły, odsunął te myśli od siebie. Skupił się na tym, o co zapyta młodego.

Los zawsze i bezbłędnie sygnalizuje nadejście tego szczególnego momentu śledztwa, od którego zazwyczaj wszystko się zmienia. Emilowi przypominało to lekcje matematyki, gdy nauczyciel milkł złowrogo, pochylony nad dziennikiem, a wraz z nim cała klasa zapadała się w bezbrzeżną ciszę. Wtedy, niemal równocześnie z momentem, w którym belfer wyczytywał jego nazwisko, Emil odczuwał lekkie ukłucie.

Wielu mu tego zazdrościło. Uważano, że miał talent. Nie zastanawiał się nad tym głębiej, oddając się raczej wyczekiwaniu na ów moment albo też, jeśli nie nadchodził, śledztwo zamykał. Zwykle oznaczało to, że zrobił wszystko, co był w stanie zrobić.

– Rozmawiałeś z Profesorem? – zapytał posterunkowego.

– Tak.

– Co ci powiedział?

– Niewiele.

– To znaczy co?

– Jakies bzdury. Mówił, że ostro popił i grzał się na głównym, bo przecież pijany nie mógł wrócić na noclegownię.

Fakt, nie mógł. Regulamin noclegowni zabraniał picia i noclegu w stanie nietrzeźwości.

– Obudziła go jakaś dziwna kobieta, niby anioł.

– Anioł? – Emil powtórzył zaskoczony.

– Tak.

To akurat Emila rozbawiło. Zaskakujące, że ludzie z marginesu mają często do czynienia z nieziemskimi istotami. Tak samo jak złodzieje, wariaci, psychopaci i zwykli kłamcy.

– Powiedział, że anioł dał pięć dych i przestrzegł, żeby więcej nie pił.

– O, a to ciekawe.

– Też tak pomyślałem.

Akurat, co młody myślał, najmniej obchodziło Emila. Postanowił wysłuchać go jednak do końca. Głównie po to, by nabrać pewności, czy sam będzie musiał pofatygować się do Profesora, czy jest to zbędne.

– Mówił coś jeszcze?

– Tak, panie komisarzu. Powiedział, że anioł przestrzegł, że jak będzie dalej pił, skończy jak kumple w szalecie na placu Pedala. Więc tam poszedł. A potem właśnie zaczął mnie na ulicy.

– Dziwne.

– Też tak myślałem. Ale Profesor zarzekał się, że tak mówiła ta kobieta-anioł.

To jeszcze bardziej zdziwiło Emila. Nie sądził, żeby Profesor był aż tak elokwentny i wymyślił podobną bajeczkę. Oczywiście Emil nie był tego pewny. Nie miał wątpliwości, że spotkanie z Profesorem będzie niezbędne. Dla pewności poszuka go po powrocie z prosektorium. Na pewno żebrak ma jakiś związek ze zwłokami, choć raczej nie byłby zdolny zabić, tym bardziej że sekcja na to nie wskazywała. Ale jeśli na-

prawdę ktoś dał mu pieniądze, to było to podejrzone. Tym bardziej 50 złotych. Być może w ten sposób dowie się chociaż, kto ukradł te wina. Zawsze to coś. Musi dowiedzieć się, ile było w tym prawdy – myślał.

– Powiedział jeszcze coś?

– Nie chciał więcej mówić. Plakał.

– Plakał?

– Tak. Oplakiwał tamtych z bunkra. Mówił, że ludzie są źli, skoro potrafią zabić takich nieszczęśników jak oni.

– Zabić?

– Tak.

– Dobra. Pytałeś może o te pieniądze? O ten banknot?

– Nie, nie pytałem.

– Dzięki, dobra robota, posterunkowy.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– To spadam. Trzymaj się!

Pożegnał się z młodym, podając rękę. Odchodząc, zerknął na sanitariuszy i lekarza. Ze szkoły wynoszono na noszach jakiegoś gówniarza. I wtedy Emil to poczuł. Jest blisko wskazówki. Dzieciak jest wygięty identycznie jak bezdomny z prosektorium.

– Ej, posterunkowy! A co tu się właściwie stało?

– No, wezwali nas, bo okazało się, że jakieś dzieciaki się naćpaly. Byliśmy najbliżej. Zabezpieczyliśmy i czekamy na narkotykowych z psem. Dzieciarnia jest w sali gimnastycznej. Będziemy przeszukiwać.

– A czym się naćpali?

– Właściwie nie wiadomo, ale znaleźliśmy przy nich grzybki.

– Psylocybinowe?

– Ja tam nie wiem, mamy je u dyrektora. Takie jak te, co nam w Szczytnie pokazywali: malutkie, suche. Jak przyjadą z psem, to będą wiedzieli. Znają się na tym, bo w tym robią. Jak pana komisarza to interesuje, to zaraz mają tu być.

– Nie, dzięki, posterunkowy, mam sprawę.

Emil czuł to wyraźnie jak zapach krwi. Miał trop. Wsiadł do poloneza i wywołał fabrykę.

– Dajcie kogoś, kto zna się na grzybach halucynogennych.

Po kilku chwilach odezwał się głos w radiotelefonie.

– Jestem, komisarzu, sierżant sztabowy Janeczek. Co pan potrzebuje wiedzieć?

– Interesują mnie psylocyby.

– Znaczy się grzybki halucynogenne?

– Tak?

– A co konkretnie?

– One są trujące?

– To znaczy czy można się po nich przekręcić?

– Tak.

– Nie bardzo, nie zanotowano jeszcze takiego przypadku.

– A co się może dziać przy przedawkowaniu?

– Delikwent się zesra po same pięty albo porzyga, ale się nie przekręci. Musiałby naprawdę bardzo dużo ich zeżreć.

– A jakie są objawy?
– Psylocybina, zawarta na przykład w łyscopicie, powoduje halucynacje i różne inne hece.

– Na przykład co?

– Ślinotok, szczękościsk albo zeszywnienie ciała.

– Zeszywnienie?

– Tak. Kolesię się wygina jak banan, bo sztywnieją mięśnie. Potem przez kilka godzin tak będzie leżał, aż wątroba rozłoży alkaloid. Wtedy ćpunek dochodzi do siebie. Będzie trochę przymulony przez dobrych kilkanaście godzin, ale raczej wróci do rzeczywistości i nic mu nie będzie. No chyba że się pomyli i zeżre zamiast łyscopici coś innego – muchomora albo jakieś inne gówno. Wtedy wygnie go w łuk i się przekręci.

– Czemu się wygina?

– To zależy, nie zawsze tak się dzieje. Jeśli tak, jest to dowód, że najprawdopodobniej zeżarł coś, co zawiera alkaloid atakujący układ nerwowy.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy.

Emil wiedział już, po co jedzie do prosektorium. Nie miał wątpliwości, że ktoś pomógł tym nieszczęśnikom przeprawić się na tamten świat. Potrzebował tylko dowodu.

10.

Znów się jej przyśnił – pomyślała. Mówił do niej, kiedy zasypiała. Słyszała jego głos. Odkąd odszedł, wciąż go słyszy. Każdego dnia.

– Mel... Melka.... Melisa – woła ją.

Raz szybko, raz głośno. Słyszy go. Inne głosy – kobiet, mężczyzn, dzieci – zachęcające, grożące, proszące, zniecierpliwione, przyjazne, ostrzegawcze, złowrogie. Podpowiadają, co powinna zrobić. Wypełniają głowę. I te sny. To właśnie w snach go najczęściej widuje.

Jestem już całkiem chora, psychicznie oddzielona od rzeczywistości – myśli. Czy trauma jest taka głęboka? Przecież to tyle lat. Szpitale, sanatoria, psychiatrzy i rzekoma choroba, a nie potrafię się wciąż z tą śmiercią pogodzić. Pragnę poczuć słodki smak zemsty. Tylko to może sprawić, że zacznę żyć normalnie – myśli.

Balansowanie na krawędzi oblędu ma jednak tę niebezpieczną cechę, że przechodząc w szaleństwo, nie jesteśmy świadomi przekroczenia granicy. A kiedy to sobie uświadomimy, jest już za późno, by wrócić.

11.

Zza solidnych oprawek okularów patrzyły na nią oczy bezgranicznie pochłonięte zajęciem właściciela.

– Co się stało? – naczelny odparł znad faktur. – Przyszedł się zemścić za tamten poranek?

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech.

– To potem. Teraz mam co innego.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie mówiłabym ci, ale to jakaś dziwna sprawa.

– Tym lepiej. Im dziwniejsza, tym bardziej interesująca.

– Tak, tak, pamiętam.

Słowa tyczyły się jej początków. Kiedy zaczynała, mocno ingerował w jej pracę. Wycinał całe fragmenty audycji. Odrzucał wiele materiałów, tłumaczył, co jest istotne, a co nie. Choć była od niego starsza, to on był starszy doświadczeniem.

– O co więc chodzi?

– Idę na spotkanie.

– Dobrze, ale dlaczego o tym mówisz?

Widać sprawy, którymi się zajmował, pochłaniały go bez reszty. Przeszkodziła jakaś drobnostką, bez większego znaczenia. Wyczuła to w jego tonie głosu. Zobaczyła w błękitnym, jasnym spojrzeniu.

– Nie gniewaj się, że ci przeszkadzam, ale trochę się boję...

– Nie rozumiem.

– Zadzwoiła do mnie wczoraj kobieta i... – zastanowiła się, jak to powiedzieć.

– I?

– ...i przyznała, że chce porozmawiać o trupach w bunkrze. Podobno wie na ten temat bardzo dużo.

– To super!

– Trochę się boję. Wiesz, to jednak było morderstwo.

– No tak, rozumiem – zatroskał się. – Chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Nie, nie o to chodzi. Nie możesz iść. Mam przyjść sama, jeszcze byśmy ją spłoszyli – zachnęła się. – Chcę tam iść w tajemnicy.

– Niemądre, ale rozumiem.

– Ale wiesz, że tam idę. Gdybym dzisiaj nie wróciła, to prawdopodobnie będę trzecią ofiarą – zażartowała, trochę niezbyt trafnie.

Ale roześmiała się. On też, choć dopiero po chwili.

– Gosiaczk, daj spokój.

Nazywał ją tak rzadko. Był szefem i trzymał kilka osób radia za mordę, ale potrafił być też jak ojciec. Twardy jak orzech, ale wypełniony miodem. Idealny szef. Pewnie dlatego bez włosów na głowie, ledwie po trzydziestce.

– Wszystko będzie dobrze – dodał. – Idź. Może zrobisz materiał na Pulitzera – uspokajał.

– Dzięki.

– O której wrócisz?

– Najpóźniej przed siedemnastą. Tak myślę – dodała, mrużąc oko.

– Będę czekał. Mam doborowe towarzystwo – rzekł, wskazując faktury.

– W porządku.

– Aaa... O której idziesz?

– Na trzecią.

Odwróciła się i nacisnęła klamkę.

– Gosia?

– Tak?

– Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł? Albo ktoś inny?

– Na pewno. Nie chcę z nikim dzielić się tortem.

Podniósł głowę na znak, że rozumie, i strzelił palcami, wskazując drzwi.

– Idź.

12.

Naczelný spojrzal przez żaluzje. Obserwował, jak Gosia zbiega po schodach. Patrzył czujnie, by nie zostać dostrzeżonym, gdyby spojrzała w okno. Znalazłszy się na zabloconym chodniku, natychmiast ruszyła w sobie znanym kierunku. Ubrał się szybko i zbiegł za nią.

Kiedy się pojawiła – myślał – oczarowała go natychmiast. Spełniała wymagania, miała doświadczenie poparte referencjami. A kiedy ją przesłuchał, zyskał pewność, że nadaje się w stu procentach. Miała nieopisany urok, magnetyczne przyciąganie, którego nie potrafił i dotąd nie umie wyjaśnić. Może to był właśnie ten charakterystyczny głos? Może gesty czy sposób, w jaki się poruszała? Może wszystko naraz, kto wie? Jedno było pewne. Wiedział, że będzie sobie radzić doskonale.

Potem się zakochał. Nagle, bez ostrzeżenia, w tajemnicy, beznadziejnie i głupio. Teraz szedł za nią w bezpiecznej odległości, by nie znikła z oczu. Przesuwał się drugą stroną ulicy, wykorzystując zaparkowane samochody, znaki drogowe, słupy, wejścia do sklepów jako chociażby częściową zasłonę. W każdej chwili był gotów obrócić się, by przeglądać wystawę albo zawiązać sznurówkę. Nie wiedział, dokąd idzie. Wierzył jej. Nie było potrzeby iść za nią, ale z pewnością nie robił tego dla siebie. To było dla jej bezpieczeństwa, a to, że nie wiedziała o swoim ogonie, było tylko dodatkowym atutem. Tak będzie lepiej – myślał. W ten sposób będzie zachowywała się naturalnie i nie spłoszy tajemniczej informatorki.

W każdej chwili mógł ją zgubić, nie miał doświadczenia w śledzeniu. Patrzył, jak smukła postać mija przejścia dla pieszych i skrzyżowania. Wciąż nie mógł zapomnieć o odrzuceniu jego uczucia. Nie ma żalu, bo przecież do niczego między nimi nie doszło i nie powiedział prawdy, ale igła klula w serce za sposób, w jaki to uczyniła. Bezlitośnie, szybko, jak uderzeniem miecza ucięła łeb nadziejom. Szybko stłamsił tę część siebie, która ją pokochała. Wycofał się. Jej reakcja tamtego dnia zaskoczyła go i do wizerunku Gosi nie pasowała. Była lodowata i bezlitosna. Potem, po czasie, zrozumiał, że zrobiła to pewnie celowo, może nawet wbrew sobie? Tak było łatwiej, a dla niego lepiej. Ale zadra w sercu pozostała. Wszystko by dał, by byli razem.

Dotknął nieświadomie ust i znamienia na policzku. Czy ten ślad po oparzeniu mógł mieć na to wpływ? Czy blizna miała znaczenie? Przecież inne kobiety twierdziły, że blizna szybko znika. Że ślad po odprysku oleju z dzieciństwa jest udziałem tylko jego psychiki. Myśląc, obserwował, jak kobieta wchodzi do kawiarni. Po chwili dostrzegł przez okno, jak siada przy stoliku. Zamówiła coś i czekała, podnosząc co kilka chwil filiżankę do ust. Wycelował teleobiektyw w jej kierunku. Migawka mlasnęła cicho kilka razy.

Po chwili znów podeszła do niej ta sama dziewczyna, kelnerka zapewne. Widział ją za pierwszym razem. Teraz jednak coś jej podała i rozmawiały. Wykonał kolejną serię zdjęć. Nie udało mu się uchwycić, co też kelnerka podała dziennikarce. Oparcie krzesła zasłoniło kadr.

Tymczasem informatorka nadal się nie pojawiała. Stojąc w bezruchu, w opadzie śniegu z deszczem, porządnie zmarzł. Gosia ubrała się i wyszła, co zdziwiło go jeszcze bardziej. Trzykrotnie strzelił w nią nikonem, gdy wychodziła z kawiarni, i się schował. Spojrzał jeszcze raz w jej stronę. Z pewnością niczego nie zauważyła, opad skutecznie ograniczał widoczność. Wilgoć, potęgując przenikliwe zimno, nie zachęcała, by się rozglądać. Wciąż nie mógł odpędzić natrętnych myśli.

– Czy ja cię jeszcze kocham, czy mam już na twoim punkcie obsesję? – szeptał niemal bezgłośnie. – To wszystko dla ciebie. Dla twojego bezpieczeństwa.

Gosia nie mogła tego usłyszeć. Za to idąca starszuszka spojrziała ze smutkiem. Jeszcze jeden uciekający przed samotnością, znerwicowany człowiek, których jest tylu teraz – myślała. Dziś jest tak wielu nieszczęśliwych ludzi.

13.

Wnętrze Pożegnania z Afryką pachniało zmielonymi ziarnami. Siedziała przy stoliku opodal okna, jako jedyna klientka. Piła cappuccino. Była bardzo dumna, że to ona informowała słuchaczy o wydarzeniach z bunkra. Zmontowała doskonały materiał. Dopiero po jej reportażu sprawą zwłok z bunkra zainteresowała się reszta mediów. Nic dziwnego zatem, że to właśnie do radia O'Key, do Małgorzaty Krawiec, zgłosił się ktoś, kto rzekomo miał jakieś sensacyjne wiadomości o tamtej nocy. Tajemniczym informatorem miała być kobieta. Sprawa schronu podobno się skończyła. Wywiad z Bossakowskim, który informował o tym, poszedł już nawet w eter. To dobrze – myśli cisnęły się do głowy.

– Wiem, że zabrzmiało to dziwnie – usłyszała nagle barmankę – ale muszę panią o coś zapytać.

Wybałuszyła oczy na dziewczynę. Kelnerki zwykle przecież nie tak zaczynają.

– Proszę pytać – odpadła zaskoczona.

– Czy pani nazywa się Małgorzata Krawiec?

– Tak.

– Tak myślałam. Poznałam po głosie – zaczęła – bardzo lubię pani audycje. W domu to właśnie radia O’Key słucham.

– Miło to słyszeć. Dziękuję.

– Ale tu, w pracy, wie pani – mrugnęła porozumiewawczo – muszę robić to, co szefostwo każe. Radio jest zabronione. Ma być tylko muzyka.

– No tak, każdy ma jakiegoś szefa – zażartowała. – Nawet papież.

Kelnerka odpowiedziała szerokim uśmiechem.

– Mam przesyłkę dla pani. Przyszła wczoraj – ciągnęła konfidencjonalnym tonem, choć były same w lokalu. – Był też list, w którym ktoś wyjaśniał, żeby przekazać przesyłkę pani.

– A jak mnie pani rozpoznała?

– Wiedziałam, że o tej porze ma przyjść kobieta odpowiadająca opisowi z listu.

– Rozumiem. To dlatego tak się pani przyglądała?

– Tak. Proszę wybaczyć niezręczność, ale chciałam się upewnić.

– Rozumiem. A kto ją tu przyniósł?

– Kurier.

– A kto nadał?

Kelnerka uniosła ze zdziwieniem brwi. Była pewna, że dziennikarka będzie wiedziała, kto nadał kopertę. Podejrzewała jakiegoś mężczyznę, z którym ma romans.

– Nie oczekiwała pani na nią?

– Nie – Gosia nie kryła zaskoczenia. – Jestem tu zupełnie przypadkiem.

– W liście napisano, że pani tu przyjdzie, i nie spóźniła się pani.

– Zatem nawet godzina się zgadzała?

– Tak.

– Dziwne.

– Owszem – przytaknęła uprzejmie, po czym dodała: – Ale nie wiem, kto ją nadał.

– A nie został list kurierski?

– Nie. Wyrzuciliśmy wczorajsze śmieci. Kopertę i list.

O pięćdziesięciozłotowym banknocie nie wspomniała.

– Przyszła wczoraj?

– Wczoraj wieczorem.

– Pamięta pani godzinę?

– Myślę, że około dziewiętnastej. Tak. Pamiętam dobrze, bo o dwudziestej pierwszej zamykamy. To był już koniec zmiany.

– A kurier. Pamięta pani nazwę firmy?

– Tak. Na kopercie było logo.

Wymieniła firmę. Gosia podziękowała, zapłaciła, dając suty napiwek, i wyszła. Wiedziała, że dalsze oczekiwanie nie ma sensu.

Informatorka zadzwoniła wczoraj po południu. Umówiły się na następny dzień. Miała więc jeszcze czas, aby kurier dostarczył przesyłkę. Śmieci wyrzucano wczoraj, a rano zostały wywiezione. Ślady zatem

zostały zatarte. Zresztą nazwisko na kopercie prawdopodobnie i tak było fałszywe. Cała ta szopka ze spotkaniem była zaaranżowana. Gosia nie rozumiała po co.

14.

Wróciła do radia. Odsłoniła taśmy żaluzji w oknie i patrzyła na białą, grubą kopertę. Wtedy ktoś zapukał.

– Proszę.

– Antoni powiedział, że jesteś – naczelnny zaczął w drzwiach. – Szybko się uwinęłaś. Masz coś?

– Tylko mniej czasu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Chyba niepotrzebnie tam poszłam – odparła.

– Wystawiła cię?

– Chyba tak.

– Jak to „chyba”?

– Nie przyszła, ale zostawiła to – odparła i wskazała na kopertę.

Naczelnny przyjrzał się jej uważnie. Ustawił pod światło. Naciskając delikatnie palcami, starał się wymacać zawartość. Pod palcami wyczuwał płaski i twardy przedmiot.

– Zostawiła dla ciebie?

– Przysłała kelnerce.

– O ona ci ją przekazała, tak?

– Mniej więcej.

– Czyli co? Polski Unabomber?

– Niby czemu?

– Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? To wiedzą tylko wariaci. Przyznaj jednak, że trochę to dziwne, co?

Wzruszyła ramionami, popijając zbyt jeszcze gorącą kawę.

– Dlaczego nie przesłała jej pocztą? – kontynuował.

– Może nie ufa jakości jej usług?

– Myślisz?

– Myślę, że o to nie chodziło.

– A o co?

– Istotny był czas.

– Mogła wysłać kurierem.

– No i wysłała.

– Aha. Ale czemu na adres kawiarni, a nie radia? – zastanawiał się głośno. – I po co to jakieś umawianie się?

– Myślisz, że to bomba albo węglik, albo coś w tym rodzaju?

– Myślę, że nie – odparł bez namysłu, po czym spojrzał na nią.

Przyłożył kopertę nad parę z czajnika. Papier odzielił się od kleju.

– I co teraz? – zapytał wyczekująco.

– Zaraz zobaczymy. Otwieraj.

Zajrzał do środka.

– Nie zgadniesz.

– Co?

– To! – rzekł, wyjmując opakowanie z płytą CD.

Natychmiast zdecydowali, że sprawdzą ją. Włączyła magnetofon i popijając kawę zaczęli słuchać.

Zakładam białą sukienkę i czuję, jak boli. Byliśmy dwoje, a teraz drapię drzewi w oczekiwaniu na coś, co nie nastąpi. Zostałeś mnie samą. W twoich oczach błyszczy kolor uśmiechu. Mnie dopada echo słów. Widzę je w potoku pocałunków, w rzęce ust.

Siedzę sama owinięta w mrok. Czuję przenikający, kusząco słodki zapach, który paraliżował zmysły, doprowadzał do szybszego bicia serca i zwilgotnienia dłoni. W pamięci mam gorące noce i zimne pożegnania. One gryzą bolesniej niż rozwścieczony pies.

Dziś, w przededniu pogrzebu naszej miłości, nie wiem nic. Nie rozumiem nic. Wpadłam w pułapkę niczym egzotyczny motyl, trzepocąc skrzydłami, trawię własne „ja”. Szarpie się na pajęczynie konwenansów i przyzwyczajęń utkanych z obietnic i złudzeń, że będę umiała, potrafiła, trwała. Choć wiem przecież, że nie umiem, nie potrafię i nie wytrwam. Bo ciebie już nie ma.

Jesteś lepszy od fotografii, z której wycinam cię łzami. Nie umiałam cię ocalić. Ochronić czegoś najbliższego i tak potwornie z każdym dniem mi tego brak. Usiłuję uciec, lecz dopada mnie głupie żło. Jakże mam widzieć biel mojej sukienki, która wciąż jest jeszcze czerwienią? Próbuję wciąż przecież uciec od ciebie, przez krew.

Rozzłoszczona wyłączyła magnetofon. Tylko zmarnowałam czas – myślała.

– Żale pewnie szalonej i nieszczęśliwej kobiety.

– No fakt. Za mądrze toto nie brzmi.

Wyjęła płytę z odtwarzacza i cisnęła ze złością do kosza. Natychmiast ubrała się i ruszyła do drzwi.

– Wychodzę. Muszę się przygotować.

– Ja muszę jeszcze zostać – westchnął.

Wyszła z biura. Obok portierni Antoni, stróż nocny, zaczął ją.

– Pani Gosiu! Halo!

– Tak? – odparła zdenerwowana niedoszłym spotkaniem, płytą i kretyńskim nagraniem obląkanej baby.

Straciła dwie godziny, które mogła poświęcić na przygotowanie wieczornej audycji. Była zmęczona i głodna, a stary jeszcze ją zatrzymywał.

– Coś przyszło do pani – mruknął. – Zaraz, zaraz, o, mam. Proszę – rzekł, podając przesyłkę.

Zrobiło się jej gorąco. Zdębiała. Była to identyczna biała koperta. Podziękowała i natychmiast wróciła do naczelnego.

15.

Emil, wchodząc do gabinetu komendanta, rzucił na stół wyniki badań na próbki treści żołądkowej pobranej w prosektorium.

– Masz coś? – komendant zdziwił się zza biurka.

– Owszem.

– No to mów, bo czas mnie goni.

– Człowiek, który tego dokonał, to prawdopodobnie jeden z najbardziej utalentowanych, a jednocześnie bezlitosnych ludzkich potworów, jaki kiedykolwiek pojawił się na świecie. Nie tylko u nas w Opolu, ale i na świecie.

Komendant zdjął okulary. Sięgając do teczki, otworzył usta jak karp przed wigilijnym wyrokiem.

– Co ty, do ciężkiej cholery, mówisz?

– To nie było przypadkowe zatrucie.

Otworzywszy teczkę, komendant przejrzał zawartość. Były tam wyniki analizy chemicznej gazu, który znajdował się w butelkach, raport z sekcji zwłok i fotografie bunkra oraz analiza toksykologiczna treści żołądkowej.

– Twierdzisz, że to zabójstwo?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Skąd wiesz?

– Po pierwsze, otwórz do schronu.

– Co to za dowód?

– Brak narzędzi.

– Mogli je schować, przehandlować, zgubić... Jest wiele możliwości – stary spekulował. – Rozmawialiśmy już o tym.

– To prawda. Otwórz mogli wykuć sami, a potem schować narzędzia, ale wina na pewno sobie sami nie zatruli – uciął.

– Jak to zatruli?

– No właśnie! W żołądku i winie jest alfa-amanityna i botulina.

Komendant spojrzał na wyniki z laboratorium.

– Widzę.

– Najciekawsze jest to, co to za trucizny.

– Pisz, że organiczny związek chemiczny. Białko o prostej strukturze i jad kielbasiany. Rozumiesz coś z tego?

– Nie jest ważne, co to jest, ale skąd się to bierze.

– Skąd?

– Z muchomorów sromotnikowych, a jad wytwarzają bakterie beztlenowe.

– Co w tym niezwykłego?

– Źródła są niemożliwe do ustalenia. Taką trutkę każdy może sobie zrobić w domu, pod warunkiem że wie jak.

– A jak to działa?

– Objawy zatrucia alfa-amanityną występują dopiero po kilkunastu godzinach. Potem ustępują, ale jest już za późno. Jad kielbasiany uszkadza układ nerwowy, a alfa-amanityna wątrobę. Morderca chciał mieć absolutną pewność, że ich wykończy.

– I...?

– Zrobił zestaw. Musi się znać na tym, co robi. To nie dzieciak, który się zabawia w chemika, ale ktoś, kto z premedytacją dokonał zabójstwa.

– Aptekarz?

– Na przykład, ale niekoniecznie. Te trucizny są łatwo dostępne. Nie można ich kupić. Wystarczy odrobinę poczytać, by z powodzeniem je zastosować.

– Poczytać. – Bossakowski powtórzył zirytowany. – No to mamy kłopot.

– Jak cholera. Zabójca jest inteligentny. Najpierw menele mieli się dobrze bawić, a w tym czasie dochodziło do nieodwracalnych zmian w organizmie. Po kilku godzinach nastąpiły nagle i gwałtowne reakcje. Podwyższenie ciśnienia, arytmia, skurcz mięśni oddechowych, paraliż i uduszenie.

– Czyli na pewno to nie było przypadkowe zatrucie?

– W żadnym razie. Morderca to przemyślał. Nie wszystkie butelki zawierały identyczną dawkę toksyny. Te na dnie bunkra miały tego gówna więcej. Butelki z szaletu miały tylko halucynogeny.

– Masz pomysł, dlaczego to zrobił?

– Nie, na razie nie. Ale dojdę do tego. Wiem, że ktoś starannie zaplanował zbrodnię, obserwował ofiary, więc musiał mieć powód, aby to zrobić.

– Ciekawe jaki – Boss się obruszył. – Przecież to menele!

– Tym trudniej nam będzie go złapać. Nie zostawił śladów. Na butelkach są tylko odciski żuli. Szykując niespodziankę, usunął wszystkie. Trutkę wprowadzał przez korek strzykawką z igłą, by wino wyglądało na nieruszone.

– Kurwa mać.

– Narzędzi nie było, bo je schował, i to on rozkuł ścianę. Tak uważam.

– Czemu?

– Sam dał nam znać przez Profesora.

– Czyli co? Zielarz-szaman żuli nam wykańcza?
– Wydaje mi się, że to nie o żuli chodzi.
– A o kogo?
– Nie wiem jeszcze – Emil zapewnił bez wątpliwości.

– Doskonale. Masz jeszcze coś?

– Tak.

– Mów.

– Uważam, że nie zrezygnuje.

Komendant odchylił się i oparł plecy o fotel.

– Myślisz, że ten skurwiel będzie mordował?

– Jestem pewien.

– Skąd ta pewność?

Emil podał przełożonemu płytę CD i wskazał stenogram z nagrania w teczce.

– Dostaliśmy to od niego.

– Skąd wiesz, że to on?

– Jak pan przeczyta, wszystko będzie jasne. Sprawdziliśmy kopertę dokładnie. Żadnej śliny, włosów, naskórka czy odcisków. To znaczy były, zebraliśmy je, ale żadne nie znajdowały się w naszych bazach danych. Na płycie też nic. Wszystko usunięte albo przygotowane tak, aby nie było śladów. Płytę nagrano w kafejce internetowej, informatycy już to sprawdzili. Byłem tam, gość z kafejki niczego nie pamięta.

– Wiedziałem, że ten bunkier to szambo. Zaraz dzwonię do Lipskiego – odparł komendant. – Będziesz miał wszystko, czego potrzebujesz. Mów, co chcesz mieć.

Emil usiadł przy biurku i zaczął wyliczać na palcach, czego potrzebuje.

– Mówił pan, żeby nie kręcić się tam? – zapytał, skończywszy.

– Wolalbym, aby dziennikarze nie zainteresowali się tą dziurą. To nie moja sprawa – prezydent o to prosił. Lipski też. Wiesz, że się znamy.

– Wiem.

– Nie chcemy sobie robić kłopotów. Rozumiesz?

– Tak, ale...

– Co jest? Mów.

– Chciałbym tam pójść.

Bossakowski pokręcił z niezadowoleniem głową.

– Wiem, wiem... Tylko nie wpłacaj mnie w jakieś gówno. Zrób tak, by nie zwracać uwagi.

Emil się uśmiechnął. To potrafił bardzo dobrze.

– W porządku.

– Masz jeszcze coś?

Emil wyjął kartkę i podał przełożonemu. Komentant przeleciał wzrokiem po piśmie i odłożył na blat.

– Co to ma być, do cholery?

– Wniosek o emeryturę.

– No, widzę przecież, że nie podanie o węgiel! Nie jestem idiotą! Pytam, dlaczego chcesz odejść. Jesteś młody facet jeszcze, służysz dwadzieścia lat. Możesz służyć przynajmniej kilka lat jeszcze.

– Chciałbym odejść.

Był zmęczony jak wróbel, który wciąż macha skrzydłami pod wiatr w burzę. Znużony pracą bez celu. Emil chciał zmienić coś w życiu.

– Czy to sprawa osobista?

– Tak – skłamał.

Prawda była taka, że miał dość już tej opolskiej kliki. Nigdy nie był jednym z nich. Komendant przypuszczał, że chodzi o alkohol.

– Rozumiem. Więc na chwilę obecną chcę, żebyś dokończył tę sprawę jak najszybciej. Mamy początek grudnia. Do czerwca masz czas. Chciałbym, aby najpóźniej do wakacji sprawa była zamknięta. Jeśli tak będzie i ci się uda, to pogadamy. Pozwolę ci odejść na korzystnych warunkach. Rozumiemy się?

– Tak jest, komendancie.

– Doskonale. Czekam na następne raporty.

– Dlaczego dziennikarze się tak bardzo tym bun-krem interesują? Zauważyłem, że pewna dziennikarka ciągle roztrząsa tę sprawę jak gnój na widłach.

– Kurwa, szlag mnie trafi!

Komendant walnął pięścią w stół. Emil poczuł satysfakcję. Lubiał wkurzać starego ubeka. Ten zaś wstał od biurka, znów zapalił papierosa. Wydawał się roz-trzęsiony. Ruszył w kierunku okna. Wcześniej w glorii i chwale zapewniał dziennikarzy, że sprawę rozwiązał. Teraz – komendant westchnął głęboko – będzie mu-siał wszystko odkręcać.

– Skąd to wiesz?

– Ciągłe mówią o tym w radio – Emil odparł zgodnie z prawdą.

– Nie podoba mi się to, ale co zrobić? Rób swoje. Ciebie nikt nie ruszy. Zajmę się nimi, a ty działaj.

– Do widzenia.

– I pamiętaj. Działaj, by jak najmniej kręcić się obok bunkra. Nie dajmy im pretekstu do kpin.

Kiedy Emil wyszedł, komendant jeszcze raz przeczytał papiery, łącznie ze stenogramem nagrania. Musiał zadzwonić do Lipskiego.

16.

Ludźmi takimi jak prokurator Emil brzydził się najbardziej. Lipski jako dzieciak był pomiatany przez kolegów. Kiedy grali w piłkę, zawsze stał na bramce. Gdy ktoś strzelał, odwracał się tyłem, by strzał przyjąć na tłustą dupę.

Dzieci tolerowały go za sprawą batoników, cukierków, ciastek i gum do żucia, które przynosił. Pamiętliwy i mściwy nie wahał się przypomnieć komuś, że nazwał go kiedyś grubasem, parówką czy kapusiem, i cukierkiem nie poczęstować. Był tępy przez bardzo długi czas. Kiedy inni potrafili płynnie czytać, Lipskiemu nawet najprostsze teksty sprawiały niewyobrażalne trudności. Długo miał problemy z tym, czy litera „b” powinna mieć brzuszek w lewo czy w prawo, a litery składał pojedynczo w słowa. Dziś problem załatwiłaby matka Lipskiego, przynosząc zaświadczenie

od psychologa, że synek, choć pilny i inteligentny jak da Vinci, to jednak ortografii i czytania nauczyć się nijak nie potrafi, bo ma dysortografię, co całą tępotę tłumaczy. Ale czasy były inne. Na wywiadówkę przyszedł stary Lipski. Choć w cywilu, wychowawczyni nie miała wątpliwości, kim był. A stary, dziś senator, wtedy był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa MSW. Wystarczyła krótka rozmowa, by oceny młodego Lipy szybko się poprawiły, niezależnie od postępów w nauce.

Tak skończył pierwsze liceum w Opolu i trafił na Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. Kierunek ukończył już po odejściu starego na emeryturę. Gwardia się wykruszała i czasy nastąpiły trudniejsze, więc młodemu Lipie udało się załatwić posadę w sądzie, a potem gabinet prokuratora.

– Lipski, słucham – odezwał się, odbierając telefon.

– Mamy smród – odparł Boss, nie owijając w bawelnę.

– Mów.

Komendant streścił Lipskiemu rozmowę z Emilem. Sprawę przesłanego na komendę nagrania zostawił na koniec.

– Zanim ci to przeczytam, muszę cię prosić, abyś pomógł mi dorwać tego pojebańca, bo może nasrać wokół nas.

– Możesz na mnie liczyć.

– Chcę, abyśmy mieli jasność.

- Mówże, o co chodzi.
 - Widzisz, Lipa, boję się, że to nie jest zwykły pojeb.
 - Nie mów do mnie tak, przecież wiesz, że tego nie lubię – zjeżył się prokurator.
 - Sram na to. Mam ważniejsze sprawy.
 - Co?
 - On dużo wie, za dużo.
 - Kto wie? Emil czy ten pojeb?
 - Emil na razie wie niewiele. Może tak zostanie. Obawiam się, że wpadł na trop kogoś bardzo niebezpiecznego. Nie wiem dokładnie, ile ten ktoś wie, ale... boję się, że na tyle dużo, aby narobić nam bardzo dużych kłopotów. Nie podoba mi się ten bunkier, rozumiesz?
 - Nie.
 - To zapytaj tatusia! Ten bunkier to nie przypadek.
 - W jakim sensie?
 - Zrozumiesz, jak ci przeczytam. Słuchaj.
- Po chwili Lipski skupiony słuchał tekstu czytanego do słuchawki. Niejednokrotnie prokurator spotykał się z pogrózkami pod swoim adresem, tym razem jednak się wystraszył. Ostatnie słowa zrobiły na nim wrażenie.

Każda zbrodnia będzie bardziej przerażająca i dla was bolesna. I w was wycelowana. Zacząłem od nich. Nie byli nikomu potrzebni. Ale mieli swoją winę, Bossakowski wie. Z każdym polowaniem będę bliżej, bo jesteście u szczytu. Przyjdzie kolej i

na was. Powiem, kiedy zrobię następny krok. Musicie być czujni. Miejcie oczy szeroko otwarte i nie próbujcie umyć sobie rąk, bo krwi umyć się nie da.

– To jakieś pierdolenie – Lipski skwitował nagranie.

– Pierdolenie czy nie, musimy się spotkać.

– Po co?

– Musimy pogadać i koniec.

– Co się tak gorączkujesz? – próbował uspokajać go Lipski. – Jakiś wariat otrul dwóch bezdomnych w bunkrze i afera.

– Młody jesteś. O wszystkim nie wiesz.

– Dobra – zgodził się bez wahania.

– Za pół godziny tam, gdzie zawsze?

Na czole odkładającego słuchawkę prokuratora pojawiły się kropelki potu. Poczul się tak, kiedy był dzieckiem i nie wiedział, w którą stronę namalować brzuszek w literce „b”.

– Pani Kasiu – zadzwonił do sekretarki – dzisiaj mnie nie będzie. Kłopoty rodzinne, zaraz wychodzę.

– Oczywiście, panie prokuratorze.

Sprawa, z tego, co Boss mówił – myślał Lipski – dotyczyła ojca, zatem musiała być poważna. O co mogło mu chodzić?

17.

Dym unosił się znad dłoni siedzącego w fotelu Emila. Czytał akta po raz setny. Nic sensownego nie

przychodziło mu do głowy. Pociągnął łyk piwa z butelki. Odłożył zdjęcie i wziął w palce następne. Starał się znaleźć coś, co nie pasowałoby do reszty.

Miał tylko teczkę wypełnioną kilkoma wskazówkami, nic więcej. Wiedział, jak ofiary zeszły. Nie wiedział tylko, dlaczego ktoś ich zabił. Dlaczego właśnie ich, nikomu niepotrzebnych żuli? Nie rozumiał też belkotu ze stenogramu. Nic nie trzymało się kupy.

Jedynie, co było istotne, to trucizny – dowód morderstwa. Obie substancje były naturalnego pochodzenia. Ta myśl świdrowała w mózgu. Nie pozwalała się skupić na całej reszcie. Uchwycił się jej jak desantujące się wojska paska plaży.

Jeśliby grzyby w uproszczeniu uznać za rośliny – myślał – to wszystkie toksyny były pochodzenia roślinnego. Nagle do głowy wpadła mu nazwa: Zielarz. Uśmiechnął się. Odtąd postanowił tak mordercę nazywać.

Skoro użył naturalnych trucizn, zrobił to celowo. Aptekarz z powodzeniem posłużyłby się jakimś lekiem i wyszłoby, że przedawkowali. Chemik spreparowałby cyjanek, strychninę albo inną toksynę. Zielarz musi być amatorem.

Myśląc o tym, otworzył kolejną butelkę i pociągnął łyk piwa. Alkohol dawał o sobie znać. W takich chwilach przypominał sobie błękitne oczy córeczki. Minęło już osiem lat. Po takim czasie ludzie zwykle wychodzą z traumy, a nawet potrafią na nowo ułożyć sobie życie. Emil nie zdołał tego zrobić. Tamte wydarzenia obro-

sły zrogowaciałym naskórkiem czasu niczym kamień mchem, ale nie znikły. Nie wybaczył sobie, a z czasem zrozumiał, że wybaczyć sobie jest najtrudniej.

Kiedy demony przeszłości dopadły Emila, niebo zaczęło okrywać się szarym preludium nocy. Zapalił zapalkę, odłożył do kryształowej popielniczki, pozwalając, by strawił ją ogień, wyginając zwęglone drewno w łuk. Patrzył w ogień, myślami będąc gdzieś daleko w czasie, przynajmniej kilka lat wstecz. Poczuł, że chciałby się zdrzemnąć choćby na godzinkę. Ogarnęła go sennaś, której zamierzał się oddać. Po kilku chwilach podświadomość natychmiast rozpoczęła projekcję.

Widział żonę wchodzącą do bunkra. Szukała tam czegoś. Szedł za nią. Ubrana była w błękitną sukienkę z zimnej satyny, trzymała bukiet pachnących ziół. Kiedy przestąpili próg szaletu, zobaczył, jak przybrały formę grzybów o monstrualnych rozmiarach. Po chwili stanęła przed jedną ze ścian i dotknąwszy jej otwartymi dłońmi, jęła przesuwac nimi ku ziemi, tak mocno przyciskając je do ściany, że zostawiały krwisty ślad.

– Kochanie – krzyknął. – Skaleczysz się!

Widząc obrys drzwi z krwistego śladu, zapytał.

– Kochanie, co robisz?

– Zaraz zobaczysz, Emilku.

Zakrztusiła się i zaczęła wypluwać z ust zęby. Po-tem jej oczy błysnęły bielą. Z ust buchnęła piana.

– Musisz tam wejść – jęczała, dusząc się. – Nie wszystko zauważyłeś – usłyszał – ale uważaj na siebie. To bardzo niebezpieczne.

Po chwili krwiste ślady na murze z cichym syknięciem błysnęły niebieskim płomieniem, otaczając kobietę aureolą. Nagle wszystko zrobiło się jasne, za jasne. W ścianie czerniał tylko sam otwór. Bez wahania ruszył ku niemu i ukazał się jego oczom przerażający widok. Widział wielką słoneczną polanę zamiast wnętrza bunkra. W oddali dostrzegł córeczkę zanurzoną w trawie po pas.

– Tatusiu!

– Martuś! Skarbie, już biegnę – krzyknął.

Poznał jej głos. Był taki, jakim go zapamiętał: wesoły, piskliwy, dziecięcy. Ruszył ku niej. Jednak trawa nagle sięgała jej do piersi. Z każdym krokiem zatrzymywała się w biegu niczym woda w basenie. Pętająca nogi, tułów, ręce i stopy, jak pajęcza nić. Im bardziej usiłował pokonać opór zielonego jeziora, tym Martusia była dalej. Nagle odwróciła się i dostrzegł krwistą dziurę w miejscu warkocza.

– Martuś! – wrzasnął raz jeszcze. – Poczekaj! Już biegnę.

W odpowiedzi usłyszał głos żony:

– Emil – odezwiała się szeptem. – Emil – powtarzała.

Stała cudowna, z rozpuszczonymi włosami niczym nimfa. Jak wtedy, kiedy się w niej zakochał. Dziewczynka znikła zupełnie.

– Dzieci są dla rodziców źródłem dumy i niepokoju – mówiła. – Rodzice zabiegają, aby te kruche istoty ubrać, nakarmić, wykapać, nosić, uspokoić i chronić. Ponieważ są bardzo ważne w życiu, nie można o nich zapominać. Nie zapominaj o nas, Emilku.

– Ale nie zapomniałem, kochanie! Nigdy nie zapomnę!

– Więc nie żałuj dla nas ognia. Jest wyzwoleniem, oczyszczeniem i kluczem. Ogień jest nam potrzebny. Jest potrzebny również tobie. Znajdź klucz i otwórz drzwi.

Obudził się i czuł, że pokrywa go zimny pot. Spojrzał na zegarek. Spał tylko pół godziny. Zwłókł się z fotela i poczłapał do łazienki. Dawno nie śnił o nich – myślał pod prysznicem.

Zakładając podkoszulek, spojrzał na popielniczkę. Nie zamierzał składować niedopałków. Chwycił kryształowe szkło, by wyrzucić jego zawartość, gdy dostrzegł coś interesującego: spalona zapalka osmolila ściankę popielniczki. Znów to poczuł. Uczucie, że coś odkrył.

Jął niedbale przekładać zdjęcia, szukając tego właściwego. Znalazłszy, przeglądał je z precyzją zegarmistrza – milimetr po milimetrze. Choć znał na pamięć kształt wyrwy w ścianie bunkra, dopiero przy użyciu dziesięciokrotnie powiększającego szkła dostrzegł, że jej krawędzie były okopcone. Odłożył lupę i natychmiast chwycił słuchawkę telefonu.

– Połącz mnie z langnerówką.

– Łączę – odparła dziewczyna z centrali.
– Słucham. – Usłyszał po chwili.
– Muszę jeszcze raz pójść do bunkra z technikiem.
Jak najszybciej. Stompor z tej strony – przedstawił się wreszcie.

– A... Emil... Cześć. – Dziewczyna i tak poznała Emila po głosie. – Masz coś?

– Chyba tak.

– Co?

– Jeśli się nie mylę, to Zielarz jest bardziej sprytny, niż sądziłem.

– Kto?

– Nieważne... Opowiem, jak się spotkamy.

– Dobra.

– Załatwisz technika?

– Ale dopiero na jutro. W razie czego sama sobie poradzę. Znam się na daktyloskopii, cheiloskopii, otoskopii, fotografii, toksykologii.

– A na mechanoskopii, pożarach i materiałach wybuchowych?

– Damy radę.

– Niech będzie, jeśli nie da się inaczej.

– Dobrze. Jutro czekam i do zobaczenia.

Wyszedł na balkon zatruć się kolejnym camelem. Pałąc, patrzył na nieznaną matkę z dzieckiem. Bawiły się na śniegu. Uśmiechnął się do swoich myśli, przypominając sobie żonę i córkę. Kiedy jego wzrok padł na odcisnięte stópki na śniegu, Emila mózg przeszył kolejny, jeszcze bardziej niespodziewany dreszcz

olśnienia. Miał kolejny ślad. Wiedział, po co iść do cholernego bunkra.

18.

Budynek stacji Opole Główne, zbudowany w miejscu Oppelner Hauptbahnhof, jest miejscem, przez które codziennie przewijają się kilka tysięcy podróżnych. Ale to także dom dla kilku innych osób, między innymi dla Profesora.

Siedział na ławce ze spuszczoną głową. Tkwił w bezruchu okryty czarnym, obdartym płaszczem do kolan.

– Witam, panie Profesorze – zagaił do drzemiącego.

– A... To pan policjant.

– Widzę, że mnie poznałeś.

– A co miałbym nie poznać? Zresztą wiedziałem, że pan mnie odwiedzi.

– Tak, a skąd?

– Po prostu wiedziałem – mruknął. – Miałem przeczucie, ale spóźnił się pan.

– A to dlaczego?

– Był tu przed panem ten szczył. – Żulik podrapał się za uchem. – Rozmawiał ze mną. Nie był za bardzo rozgarnięty. Ale wiadomo, przy niedoborze funkcjonariuszy liczy się każda sztuka, prawda?

– Tak. Masz całkowitą rację.

Śmieszył go ten mężczyzna. Emil zastanawiał się wielokrotnie, kim ten facet był w poprzednim życiu.

Czy miał rodzinę i dom, zanim dopadło go życie poza nawiasem?

– Wiesz, po co tu jestem, prawda?

– Wiem.

– Dlaczego uważasz, że ktoś tamtych zamordował?

– To ona powiedziała.

– Ten anioł?

– Widzę, że niezbyt rozgarnięty zdał jednak relację? – zapytał z uśmiechem, odsłaniając bezzębne wargi. Nie czekając na potwierdzenie, odparł: – Tak. To była kobieta-anioł. Poszedłem tam, gdzie mówiła, i okazało się, że nie kłamała. Leżała połowa stówki i on. Dalej nie wchodziłem, bo się bałem. Wiem, że mam główne życie, kierownika, ale jest moje i chciałbym żywy do śmierci dożyć.

– No tak, rozumiem – glina przytaknęła.

Bezdomny znów go rozbawił. Miał ochotę odpowiedzieć: „Przecież inaczej się nie da”. Zamiast tego słuchał dalej.

– Wystarczająco się przestraszyłem, że kobieta-anioł zstępuje do mnie z niebios. Myślałem, że przyszła po mnie, ale to nie to. „Jeszcze nie teraz” – powiedziała. Przyszła powiedzieć o nich.

– Powiedzieć, że co?

– No jak co? Że tam leżą.

– Wiem, wiem, Profesorze. Ale dlaczego powiedziała ci o tym?

– A co ty sobie myślisz! – oburzył się nagle. – Nic ci nie powiem. Im mniej wiem, tym dłużej będę żył – obruszył się menel.

To był teatr. Emil wiedział, jak rozmawiać z Profesorem. Nie raz stary cap mu pomógł. Niestety nawet bezdomni niechętnie pomagają policji. Nic dziwnego, był przecież tylko jeszcze jednym psem.

– Nie mnie. Opowiedz Mieszkowi I – rzekł, wyjmując dziesięciozłotowy banknot.

Bezdomny podniósł głowę i skrzywił się chytrze.

– Nigdy nie uważałem go za prawdziwego władcę. Nie był nawet królem. Nie považam go.

– W takim razie porozmawiaj z Bolesławem Chrobrym – policjant rzekł po chwili wyczekiwania.

Bezdomny łypnął z boku na banknot. Zapominając o letargu, w jakim tkwił jeszcze przed chwilą, nagle się ożywił.

– Umie pan jednak rozmawiać z ludźmi. Podejście pan ma. Wiadomo, że z prawdziwym królem to od razu się inaczej rozmawia. I na historii się pan zna.

– Dobra, dobra już. Mów – Emil ponaglił żula.

– Co pan chce wiedzieć?

– Wszystko o tych trupach.

– Nie wiem, dlaczego ktoś ich zabił. Na pewno ktoś chciał, żebyście wy o tym wiedzieli.

– Czemu tak myślisz?

– Bo zesłał anioła-kobietę.

– Jakiego anioła, jaką kobietę?! Mów po ludzku, skończ pierdolić. Takie farmazony możesz młodemu opowiadać.

– Ale naprawdę, panie komisarzu. Jak Boga Kocham! – Uderzył się w piersi ściśniętymi pięściami.

Znów się okazało, że Profesor nie jest taki, za jakiego ludzie go biorą na ulicach. Emil nie miał pojęcia, skąd Profesor znał jego stopień.

– Już całkiem straciłeś kontrolę nad sobą – odparł Emil, udając podirytowanego.

– Przecież kontroluję wszystko.

– Wszystko? To czemu jesteś żulem, chlejesz na ulicach i śnią ci się aniołowie i kobiety?

– One mi się nie przyśniły. Poza tym nie one, bo jedna – poprawił. – A potrafiła rozmawiać nawet lepiej niż pan, panie komisarzu.

– Ile ci dała?

– Mmm... – rozmarzył się.

– Co?

– Dała Kazimierza Wielkiego, ale nie to jest ważne. Ważniejsze, że nie całego.

– Jak nie całego?

– Przedartego na pół dała. Druga połówka miała być tam, w bunkrze, w kieszeni tego na wersalce. I była, panie komisarzu, naprawdę tam była. Przysięgam. Klnę się na Chrystusa umiłowanego.

Jeśli to prawda, a najprawdopodobniej tak – myślał Emil – to bardzo istotne. Profesor raczej z zabójstwem nie miał nic wspólnego. Chociaż z drugiej stro-

ny nigdy nic nie wiadomo. Bezdomni też mają własne porachunki, ale kopert z płytami na komendę nie wysyłają i trucizn nie przyrządzają.

– Ktoś chciał, abyście się o zwłokach dowiedzieli – dodał.

– No to czemu nie napisała do nas anonimu albo nie zadzwoniła?

– Ja tam nie wiem. Może aniołom nie wolno? – odparł żulik z powątpiewaniem.

– Czemu ciągle mówisz, że była aniołem?

– Bo była!

– Gówno prawda! Aniołowie nie istnieją. Ochlałeś się dykty i ci się przed oczami pierdoliło, w głowie chyba też. Widziałeś u niej skrzydła?

– No... – przeczesał brodę zakłopotany. – Faktycznie byłem wtedy nieco pijany, ale kontrolowałem wszystko – dodał szybko. – Tyle że jej nie widziałem.

– Jak to? Mówiłeś, że tak. Robisz mnie w chuja?

– Skąd, panie komisarzu – obruszył się żulik. – W życiu! Ale nie widziałem dokładnie. Siedziałem na ławce, nie? Podeszła od tyłu i rozkazała: „Nie odwracaj się”. No to się nie odwróciłem – menel wyjaśniał szczegółowo. – Powiedziała o biedakach z bunkra. Kiedy się odwróciłem, była tylko ta połówka pieniądza. Daleko szła kobieta w białej kurtce z kapturem na głowie. Wyglądała jak anioł. Skrzydeł nie miała, ale nie widziałem dobrze, bo była już daleko.

– Czemu nie powiedziałeś o tym młodemu?

Bezdomny spojrział na policjanta z wyrzutem. Niemal obrażony pytaniem przekrzywił głowę. Potem zamknął najpierw prawe, potem lewe oko.

– Uważa pan, że będę rozmawiał ze studentem? Który na dodatek nie ma dla mnie szacunku? Bez indeksu, bez wiedzy, nieprzygotowany, jak jakiś ignorant?

Emil nie wytrzymał. Roześmiał się. Ta uwaga niezmiernie go rozbawiła.

– Kim byli ci w bunkrze?

– To znane chłopaki. Chociaż z drugiej strony to też skurwysyny, jak każdy.

– Myślisz, że mieli wrogów?

– Wie pan, szefie, my zawsze przeszkadzamy. Wszędzie nas pędzą i nigdzie nie chcą. Tym bardziej jak ktoś jest w życiu gnojem. Ale zabicie to chyba za dużo. Tym bardziej przez otrucie.

– Skąd wiesz, że ich otruli?

– Jak to skąd? Przecież to gołym okiem widać.

– Pileś z nimi?

– Nie, ja nie laziłem z nimi. Oni trzymali się we dwóch. Nie żeby pedałami byli, ale chodzili razem. Wiem, że dzień wcześniej wyszli z noclegowni. Słyszałem nawet, jak się umawiali na libację. Byli tacy szczęśliwi. Mówili coś o całej skrzynce wina, a potem ktoś ich otrul.

– Otrul, mówisz?

– Tak, panie dyrektorze. To co, jeszcze tego nie wiecie?

- Profesor, a nie pomyślałeś, że to anioł ich otrul?
- Widzi pan, pan też potwierdza, że to był anioł. To dobrze, że się rozumiemy. Może to i on, ale na moje to nie. Tylko powiedział o tym.
- A czemu nie wziąłeś tego вина stamtąd?
- Mówilem, że jedno życie mam. Jak tylko zobaczyłem, co tam się stało, wiedziałem, że Ormowca otruto.
- Kogo?
- No, Ormowca – odparł zirytowany. – Taką ksywkę miał przecież.
- Kto? – Emil nie bardzo zrozumiał.
- No ten, co to w szalecie leżał. Nie nadaża pan, panie komisarzu?
- Aha. Skąd wiesz, że był otruty?
- Wiem, jak wygląda zatrucie jadem kielbasianym.
- Emil poczuł policzek. Pożałował, że nie przesłuchał Profesora wcześniej.
- Jadem, mówisz?
- Uhm. Już niejeden z nas umarł po czymś takim.
- Po winie?
- Po jakim winie? Dobre wino nie jest złe, ale nie zatrute. Po jadzie kielbasianym, do chuja! – odparł zirytowany.
- Aha. Rozumiem. Co jeszcze wiesz?
- Nic już nie wiem, panie komisarzu. Mam nadzieję, że znajdziecie go szybko.
- Czemu?
- A skąd wiem, że znowu nie będzie kogoś z nas chciał zabić? Tacy tak robią, dopóki się ich nie złapie.

A ja do tego jeszcze z panem rozmawiam. Narażam się.

To, co usłyszał od Profesora, rzuciło światło na sprawę. Pozostały jeszcze pytania: dlaczego ktoś zabił? I dlaczego zawiadomił o ich śmierci? Wprawdzie zwykli mordercy, zwłaszcza najgroźniejsi, chętnie się zabójstwami, ale powiadomienie policji przez bezdomnego wydawało się czymś innym niż pokazaniem trofeum. Może w ten sposób Zielarz chciał dać do zrozumienia, że będzie zabijał tylko bezdomnych?

Były już takie przypadki w historii. Sayenko, Hanzha czy Suprunyuck „oczyszczali” ulice z bezdomnych i alkoholików. Jeśli tak, to będzie mordercą wizjonerem – Emil rozważał. Tak czy inaczej, jeśli Zielarz dokona następnego zabójstwa, będzie wiadomo, jaki to typ pojebusa. Teraz najważniejsze jest ustalenie motywu – myślał. Dlaczego zabił? Być może to jest klucz do zagadki śmierci tych dwóch? Faktycznie, Emil się nie mylił.

19.

Tym razem bez ceregieli, odklejania nad parą i zbędnych obmacywanek otworzyli kopertę. Wewnątrz znaleźli płytę.

– Identyczna jak tamta – rzucił.

Przytaknęła w milczeniu. Naczelnny włożył CD do odtwarzacza. Z głośników dotarł do nich głos.

– Nie rozpoznamy jej po głosie. Nie mamy szans.

– Najmniejszych.

Ale nie mieli wątpliwości, że była to ta sama kobieta. Nagle poczuła gęśią skórkę. Z nagrania wynikało, że odkryła spisek przeciw wolności i prawie decydowania jednostki o sobie. Twierdziła przy tym, że odkryła struktury mafijne w opolskiej policji oraz że ukochany mężczyzna został zamordowany przez ubecko-narkotykową mafię. Mieli to zrobić policjanci z Opola.

– Żal mi jej.

– Myślisz, że jest szalona?

– Nie mam wątpliwości.

– Mnie też się tak wydaje.

– Możliwe, że to ktoś, kto przeżywa głęboko tragiczną śmierć swojego mężczyzny.

– Nie pamiętam dokładnie, ale chyba był jakiś wypadek niedawno.

Przypomniała sobie o niedawnym pobiciu ze skutkiem śmiertelnym, ale nie sądziła, żeby te dwie sprawy coś ze sobą łączyło.

– Na wszelki wypadek sprawdzę to jutro. Nagranie prawdopodobnie nie ma z tym najmniejszego związku.

– Tak myślisz?

– Uhm.

– O jasna cholera! – Dotarła do niej pewna myśl.

– Co się stało?

– Może słuchamy głosu człowieka, który zamordował tamtych ludzi w bunkrze?

– Istnieje taka możliwość. Ale – rzekł, wskazując na magnetofon – masz prawie na pewno do czynienia z wariatem.

– To, że ktoś jest wariatem, nie wyklucza zabójstwa. Nawet tym bardziej, część morderców jest świrami.

– Nie da się ukryć.

Nieoczekiwanie zimna myśl niemal ją sparaliżowała.

– Powiedziałeś, że „masz”?

– No.

– Czemu „masz”?

Odwróciła kopertę na stronę adresata. Otwierając, nie zwróciła uwagi na pewien szczegół.

– Przecież ona do ciebie pisze.

Na kopercie było jej nazwisko. Serce i duszę zmroził jej strach. Nie był to lęk, który jest tylko spłonką strachu, ale najczystszy strach. Wzięła głęboki oddech.

– Skoro ten bezlitosny – wycedziła powoli – okrutny człowiek...

– Taak?

– ...wysłał to nagranie na adres radia i na kopercie napisał moje nazwisko...

– ... to znaczy tylko jedno – dokończył za nią.

– Tak.

– Że pisze właśnie do ciebie?

– Nie jestem dla tego kogoś anonimową dziennikarką, która tylko podaje informacje o tej zbrodni.

– Fakt.

– Jestem konkretną osobą.

– Małgorzatą Krawiec z radia O'Key.

Drżącymi dłońmi wyjęła płytę z odtwarzacza i włożyła do plastikowego pudełka. Tymczasem naczelny starał się ją uspokoić.

– Nie ma co panikować – mówił. – Nie ma pewności, że płytę spreparował morderca. To tylko nasze przypuszczenia.

– Ale jeśli tak jest?

– To oznacza, że – chłodno analizował – morderca wie, kim jesteś, rozmawiał z tobą oraz wysłał do ciebie nagrania i...

– Nie jestem mu obojętna.

– Prawdopodobnie.

– Niedobrze jest zainteresować mordercę – przyznała ze smutkiem.

– Nie mamy pewności, czy to on.

– Nawet jeśli to nie morderca, tylko świr, to żaden z tego komfort.

Ani przez chwilę nie wpadło im do głowy, że ktośkolwiek wysłał koperty, mógł zostawić ślady. Istniała szansa, że pomogłyby w jego ujęciu, a tymczasem właśnie te ślady zacierali.

– Bardzo źle się czuję, idę do domu.

Nie mogła dłużej pozostać w radiu. Musiała wyjść.

– Jak chcesz. Faktycznie jesteś błada – zauważył nie bez racji.

– Niech nikt do mnie nie telefonuje – poprosiła.

– Zapamiętam.

– Przynajmniej do rana – dodała. – I tak wyłączę komórkę.

Wybiegła z budynku radia. Przed wejściem spojrzęła na swój samochód. Wymacawszy kluczyki, poczuła krawędź przekłętą koperty. Przeszła obok samochodu, spojrzała na numer rejestracyjny. Trafiła w nią kolejna myśl. Zamiast kluczyków wyjęła z torebki motorolę.

– Coś się stało?

W tonie naczelnego wyczuła niepokój.

– Nie, wszystko po staremu. Słuchaj – przeszła do sedna – pamiętasz, jak zastanawiałeś się, po co ta cała szopka ze spotkaniem?

– Tak, i co?

– Chyba już wiem.

– Mów.

– Ona zna tylko mój głos, prawda? Nie wie, jak wyglądam. Zwabiła mnie i obserwowała, żeby poznać wygląd. To był prawdziwy cel całej szopki.

Przez chwilę w słuchawce słyszała tylko ciszę.

– Halo! Jesteś tam?

– Tak, tak... jestem. Wiesz, to trzyma się kupy – przyznał. – Możesz mieć rację. Co zamierzasz?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Zastanawiam się. Wiem, że nadawca może mnie nawet w tej chwili obserwować. Wie, gdzie pracuję, jak się nazywam. Teraz może już wie, jak wyglądam. Jeśli wie, gdzie mieszkam, to koniec – wykszusiła.

– To, co mówisz, ma sens. O ile to wszystko prawda, to dopiero niedawno odkryła, jak wyglądasz. Nie sadzę, że już wie, gdzie mieszkasz.

– Tak uważasz?

– Tak. Tym bardziej gdyby wiedziała, gdzie mieszkasz, przysłałaby ci kopertę do domu, nie do radia.

– Bardzo możliwe, a teraz stara się to ustalić. Trzeba założyć, że nie wie, gdzie mieszkam.

– Zgadza się. Na wszelki wypadek.

– I nie mogę dopuścić, żeby to odkryła.

– Musisz też iść na policję – zauważył rzeczowo. – Jeśli chcesz, pójdę z tobą.

– Dzięki. Dam znać. Muszę ochłonać.

– Gosia? – rzucił szybko, by przedwcześnie się nie rozłączyła...

– Tak?

– Mam iść z tobą albo odwiedzić cię, albo coś innego...?

– Dzięki. Kochany jesteś, ale dam radę. Muszę wszystko sobie w głowie poukładać – wyjaśniła, wyznaczając, co zamierza.

– Jak chcesz.

20.

Patrzyła na ulicę. Każdy człowiek był dla niej zagrożeniem. Wszystkie samochody na parkingu podejrzane. Przez sekundę opanowała ją myśl, że może to naczelný wysyła jej te koperty. Natychmiast odrzuciła ją jako zupełnie nedorzeczną, bo jest przecież mężczyzną. Choć może właśnie w ten sposób popelnia błąd?

Co robić? Co robić? – kołatało się jej w głowie. Otwierając drzwi taksówki, zastanawiała się, do kogo się udać, ale nie miała tu nikogo. Ani koleżanek, ani rodziny. Praca to wszystko, co miała. W zupełnie obcym miejscu nie czułaby się bezpiecznie. W starym młynie, cztery piętra ponad ulicami, z sąsiadami poniżej, w domowym zaciszu będzie jej najlepiej.

Wsiadając do taksówki, spojrzała w kierunku okien radia. W jednym z nich stał naczelny. Pocieszał ją uniesionym w górę kciukiem na znak, że wszystko będzie dobrze.

– Dokąd jedziemy?

– Do domu – odparła niby bezmyślnie, ale zupełnie celowo.

Nie miała pewności, że taksówkarz nie poluje na nią. Głos z rozmowy, choć damski, mógł być przecież tak samo przetworzony komputerowo jak ten z nagrania. Morderca może też chcieć ustalić od kierowcy, dokąd ją zawiózł. Zatrze swoje ślady – myślała.

– A gdzie to?

Taksówkarz uśmiechał się obleśnie na widok atrakcyjnej czterdziestolatki.

– Proszę na ulicę 1 Maja, pod Plusa. Wie pan, gdzie to jest? – zapytała głupio. Stary szofer z pewnością zna wszystkie adresy.

– Oczywiście, proszę pani. Pracuję w tym fachu już 25 lat – rozgał się tak, jak przypuszczała. – Znam każdą dziurę w tym mieście, nawet myślą.

Samochód ruszył z niechętnym klekotem silnika. Poczula się bezpiecznie we wnętrzu. Dyskretnie patrząc w przekrwione oczy wąsatego kierowcy, skupione nad przedpołu, pomyślała: „On nie może być mordercą”. Ale zabójca bezdomnych z bunkra może być bardzo blisko. I faktycznie, dziennikarka się nie myliła.

21.

Melisa, w skrócie Melka, Mel w okularach, Meluś w spodniach, Meliska w piżamie. Jak zioło, *Melissa officinalis*, gatunek z rodziny jasnotowatych. Rojownik, pszczelnik, matecznik, starzyszek, cytrynowe ziele.

Tak do mnie mówił i bardzo mnie kochał. Ale jeśli miałabym surowo, niczym zaślepiony paragrafami sędziezia, ocenić swoją miłość – myślała – powiedziałabym, że w tarocie wyjęłam kartę kochankowie w pozycji odwróconej.

Poznałam go, nim to wszystko się wydarzyło. Byłam jego studentką, on moim wykładowcą. Studiowałam ochronę środowiska, a Jakub był przystojnym młodym doktorem. Imponował i pociągał. Niemal od pierwszych chwil wiedziałam, że musi należeć do mnie.

Na ulicach wyraźnie nasilał się ruch. Tym bardziej że pierwsze tego dnia płatki śniegu z deszczem powoli zaczęły spływać na ziemię. Kiedy w polu ich widzenia ukazała się jasna witryna sklepu Plus, taksówkarz zapytał:

– Gdzieś tam, po prawej pod sklepem?

– Tak, tak... Będzie dobrze – odparła. – Mieszkam na parterze, zaraz na rogu Wapiennej – skłamała.

– Jak sobie panienka życzy.

Uregulowała rachunek, dając napiwek, choć nie-duży. W przeciwnym razie mógłby lepiej ją zapamiętać, a wolala pozostać anonimowa.

Wbiegła szybko do sklepu i znalazła wino. Przechodząc obok stołów z badziewiem, jakie sprzedaje się na kilogramy w dyskontach spożywczych, dostrzegła welnianą czapkę z pomponem oraz żółty płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Obie rzeczy dołączyły do butelki w koszyku.

Zapłaciła, włożyła czapkę, kryjąc pod nią włosy, a na gustowny płaszczyk zarzuciła nieprzemakalny, gumowy, żółty wór. Kończąc, wcisnęła torebkę do plastikowej torby z winem i wyszła pośpiesznie ze wzrokiem wbitym w czubki kozaczków. Przebiegła jezdnię i kiedy znalazła się po drugiej stronie, ruszyła w kierunku odwrotnym do tego, jakim powinna iść, by najszybciej dotrzeć do domu.

Nagle skrzyła w bramę. Znikła z pola widzenia kogokolwiek, kto by ją śledził. Dotarła do kamienicy od strony podwórza. Wbiegła po schodach i dopiero w domu poczuła się bezpieczna.

Uspokojona włączyła muzykę. Nie zapalała światła. Nie zbliżała się do okna. Postanowiła, że zasłoni żaluzjami szyby dopiero za jakiś czas, tak by morderca, jeśli nawet odkrył, do którego domu weszła, nie odgadł numeru jej mieszkania. Dziękowała Bogu, że nie ma jej nazwiska na domofonie, skrzynce pocztowej ani na liście mieszkańców. Był jedynie numer lokalu.

Wpuściła wodę do wanny. Wsypała obfitą dawkę soli do kąpieli o morskim zapachu i woda zabarwiła się na kojący, błękitny kolor. Gorąca woda parowała, pokrywając lustro mgiełką i zacierając kształty. Popijając złocisty płyn z kieliszka, uzupełnianego stopniowo z coraz bardziej pustej butelki, słuchała.

Wiem, że się boisz. Niepotrzebnie. Jeśli będziesz robić to, na czym mi zależy, nic złego cię nie spotka. Możesz osiągnąć coś wyjątkowego. Ogrzać się blaskiem mojej sławy, która wkrótce rozgorzeje niczym płomień świecy. Wiem, że to, co usłyszałaś, może brzmieć dla ciebie jak słowa wariata... Ale nie daj się zwieść pozorom. Nie chcę cię zabić. Nie ty jesteś moim celem. Jest nim ktoś inny. Twoje zadanie jest proste. Rób to, co robiłaś. Informuj. Zostałaś wybrana, bo jesteś mi bliska. Pierwszą ogłosiłaś mnie światu. Będziesz to robić nadal. Chyba że wolisz umrzeć.

Gosia, usłyszawszy to, uśmiechnęła się.

23.

Wsluchując się w głos na płycie, zmotywowwała się do działania. Postanowiła, że nadszedł czas, by odwiedzić policję. Wybrała się na komendę. Gmach komendy wojewódzkiej przytłaczał patrzących na niego, krył też w sobie niejedną tajemnicę. Przed 1945 rokiem był siedzibą gestapo.

– Dzień dobry – przywitała się z policjantką na dyżurce.

– Dzień dobry.

– Chciałabym przekazać pewne informacje.

– A w jakiej sprawie?

– Na temat tego, co stało się 28 listopada na placu Pe... – poprawiła się – na placu Daszyńskiego.

– Rozumiem. Sprawdzę, czy jest śledczy, i przekażę, że pani przyszła.

– Bardzo proszę.

Po rozmowie, której treści, choć bardzo chciała, niestety nie usłyszała, otrzymała przepustkę i wskazanie, gdzie powinna się udać.

– Proszę szukać komisarza Stompóra.

– Ach tak – odparła. – Zapamiętam. Dziękuję.

Zaczepiła przepustkę do bluzeczki i schodami poszła na czwarte piętro, potem długim korytarzem udała się pod wskazany numer. Miała już coś. Nazwisko prowadzącego sprawę. Włączyła magnetofon w toreb-

ce. Obejrzała się przy tym, czy nie jest obserwowana. Nie była. Na korytarzu, przy uchylonym oknie, stał niepozorny mężczyzna po czterdzieste. Ubrany po cywilnemu, palił.

– Nie orientuje się pan, czy dobrze trafiłam?

– To zależy, czego pani szuka – odparł, wydmuchując dym.

Zastanowiła się, czy był policjantem, bo wcale na kogoś takiego nie wyglądał. Skoro jednak stał tutaj, tak było z pewnością – pomyślała.

– Konkretnie kogo. Inspektora Stompóra.

– A, to co innego.

– Tak, a dlaczego?

– A pani w jakiej sprawie? – rzucił, paląc dalej.

– Skierowano mnie tu z dyżurki na dole. 28 to, зда-je się, numer gabinetu tego pana.

– Zgadza się. Ale chyba ma pani pecha.

– Dlaczego?

– O ile wiem – rzekł – komisarz Stompór przed chwilą miał wezwanie. Musiała się pani z nim minąć.

Niech to diabli! – zaklęła w myślach, po czym dodała:

– To może poczekam?

– Raczej odradzałbym. Wyszedł w teren. Wróci zapewne dopiero rano.

Nieznajomy pierwszy raz uśmiechnął się do niej. Jego twarz nabrała dobrotliwego wyrazu.

– Szkoda.

– Aż tak pilna sprawa?

Uśmiechnął się do niej raz jeszcze. Zauważyła, że bacznie się jej przygląda. Była pewna, że jest dla tego typu atrakcyjna. To dobrze – pomyślała. Będzie łatwiej. Nie był zbyt obleśny. Jak na swój wiek dość atrakcyjny, ale nie z tych, któremu dałaby numer telefonu.

– Coś przekazać śledczemu? – zapytał po chwili.

Nieco zbyt uprzejmy jak na policjanta – pomyślała. Pewnie był jakimś pracownikiem cywilnym komendy.

– Nie, wolałabym rozmawiać z nim osobiście.

– Rozumiem. Trudno – odparł krótko. Zasepił się widocznie i dodał: – Może jednak mógłbym pomóc? Pracujemy razem. Wie pani, jak to jest w pracy – rzekł z uśmiechem, chowając zapalniczkę do pudełka camel. – Trzeba sobie pomagać.

– Nie... Wolałabym rozmawiać w tej sprawie z tym panem osobiście – powtórzyła z naciskiem.

– Nie będę nalegał. Proszę zostawić numer.

– A może ma pan numer do śledczego Stompora? – odparła, obracając kota ogonem.

Nie chciała dawać glinom prywatnego telefonu. Gdyby dała telefon do pracy, glina mógłby domyślić się, że jest dziennikarką.

– Niestety nie bardzo... Chociaż – zawahał się – proszę zaczekać.

Mrugnął porozumiewawczo. Znikł za drzwiami. Zerknęła ukradkiem do środka, ale dostrzegła tylko biurko. Po chwili wyszedł i podał jej prostą wizytówkę.

– Nie byłem pewny, czy mam ją jeszcze, ale na szczęście się znalazła.

– O... Bardzo dziękuję.

– Proszę. Z tyłu dopisałem prywatny numer Stom-pora.

Odwróciła wizytówkę.

– Chociaż to. Do widzenia!

– Do widzenia – odparł, przykładając dłoń do czoła, jakby salutował.

Schowala wizytówkę, odwróciła się i ruszyła z powrotem. Była niezadowolona. Nadal nic nie miała. Tylko numer telefonu, choć do osoby, która prowadzi sprawę. Zawsze to coś. Wyłączyła magnetofon. Ostatnią myślą w siedzibie policji było „muszę wymyślić coś nowego”.

24.

Pobrał służbowego P-83 z dodatkowym magazynkiem i zbiegł na dół. Tym razem poniżej parteru, do piwnicy. Tam, na końcu niskiego i słabo oświetlonego dopalającymi się jarzeniówkami korytarza, znajdował się kantor Langnera, w którym pracowała sierżant sztabowy, Arletta Marcinkowska. Była to młoda policjantka. Potrafiła w stogu zgniłego siana znaleźć DNA traktorzysty, który skosił trawę. Słowo „laborantka” rymowało się jej ze słowem „randka”.

– No, jesteś wreszcie.

– Jestem, jestem... Śpieszyłem się jak do pożaru.

- I co? Idziemy na kawę?
- Myślałem, że jesteś lesbijką.
- No coś ty, zwariowałeś?! Ja nie, moja dziewczyna
- Letka pociągnęła żart dalej.

Emil nazywał ją tak od początku. Polubiła to, tak samo jak jego samego, bo choć szary, niczym cała jesień, był równym gościem. Mógłby być jej starszym przyjacielem, a nawet kochankiem. Albo facetem, tyle że nie czuła z jego strony takiego zainteresowania.

- Kiedyś pójdziemy, zobaczysz.
- No, zawsze tak mówisz – odparła z udawanym wyrzutem.
- Najpierw załatwimy jeszcze ten bunkierek.
- Umieram z ciekawości. Masz coś, o czym nie wiem?

– Już, już.

Odkąd się spotkali, natychmiast poczuł do niej sympatię. Ona też go polubiła, co jest nietypowym zjawiskiem. Widać każdy ma kogoś, by lubił go i szanował.

- Jesteś sama?
- Niestety, nie udało się nikogo załatwić.
- Trudno – zasępił się. – Aha, możesz robić zdjęcia?

- Nie zajmuję się tym, wiesz przecież.
- Zdjęcia muszą być – odparł z naciskiem. – Miałem nadzieję, że coś wykombinujesz. Bez fotek nic nie zdziałamy.

– Komisarzu Stompor, jesteście tak przystojni, że dla was prawie wszystko – zażartowała, wracając do kantorka.

Laboratoryjną norę od dawna zajmował stary analityk Langner, który przeszedł na emeryturę. Od jego nazwiska powstała nazwa. Dziewczynie marzyła się praca operacyjna zamiast tej nory. Zaproszenie Emila przyjęła jak dzieciak propozycję łodów.

Chwyciła słuchawkę telefonu. Emil spojrzał na aparat. Nie miał wątpliwości, że zdemontowano go z Arki Noego, tak był stary. I tak, kurwa, ciągle – pomyślał. Wciąż w fabryce czegoś brakowało. Nawet najprostszyc rzeczy – biurka, komputera czy papieru do ksero. Tymczasem dziewczyna spojrzała na niego.

– Poczekaj chwilę – szepnęła. – Zaraz załatwię.

– Letka!

– Tak?

– Musimy robić zdjęcia w podczerwieni.

– Co?

– To muszą być fotki w podczerwieni – powtórzył.

– Aparat na podczerwień? Coś ty wymyślił. To Opole, a nie Quantico.

Po kilku sekundach przeprowadziła rzeczową i krótką rozmowę ze starym Langnerem.

– Spoko. Będzie podczerwień – odparła.

Po kilku minutach parkowali na ulicy Kollątaja. Oczywiście z aparatem i skrzynką laboratoryjną oraz z aparatem na podczerwień. Ta dziewczyna była skarbem. Wszystko potrafiła załatwić – myślał.